Świat Kobiecy

N-R 22 15 LISTOPADA 1931 R. ROK XI



CENA ZŁ. 2·25

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA N-R 22 — ROK XI WARSZAWA — LWÓW 15 LISTOPADA 1931 ROKU

MIŁOŚĆ, MODEL 1931

KAŻDA EPOKA wytwarza swój własny styl, przejawiający się nietylko w sztuce, ale i w całokształcie życia. Forma, w jakiej wypowiada się miłość, nabiera wszystkich cech danego stylu, które różnią się do tego stopnia między sobą i bywają nieraz tak nieoczekiwane i przewrotowe, że powstaje kwestja, czy to nietylko ujęcie, ale i sama istota rzeczy nie uległa zmianie. Tego rodzaju kwestja wyłoniła się właśnie w powojennej dobie.

Ludzie starszego pokolenia patrzą na dzisiejszą miłość ze zdumieniem, z przerażeniem, z oburzeniem — i porównując ją z tą, którą znali za dawnych lat, twierdzą kategorycznie, że miłość w znaczeniu uczucia i łączących się z niem stanów psychicznych przestała istnieć, a pozostał tylko prymitywny instynkt.

Wiadoma rzecz, że ludzie starszego pokolenia rzadko kiedy miewają rację — zabierając zaś głos w takiej sprawie jak miłość, skłonni są nawet do absurdalnych twierdzeń. Nie trzeba im się dziwić. Wydawanie sądu na podstawie odległych wspomnień, wczuwanie się w psychologję innej generacji, asymilowanie pojęć zupełnie sprzecznych z temi, wśród jakich się dojrzewało — należy do przedsięwzięć niezmiernie uciążliwych. Nie wszyscy mają dar i siłę pokonywania tych trudności i dlatego kwalifikują jako zanik uczucia to, co jest tylko jego odmiennym wyrazem.

Miłość w obecnych czasach ma wybitne piętno nowoczesnego stylu. Wykazuje te same cechy, co dzisiejsza architektura, zdobnictwo, stroje, piśmiennictwo, lub sztuka dekoracyjna — to jest: celowość, szczerość, prostotę, odwagę, odrzucenie wszystkiego co trąci dawnym konwencjonalizmem, ścisłe przystosowanie się do wymagań praktycznego życia, pogardę dla małostkowości i podporządkowanie szczegółów zasadniczej idei.

Tak zwany modernizm szedł ku nam oddawna — drogą spokojnej ewolucji. Okres wojenny pchnął go do skoku, po którym nabrał bardziej zdecydowanych kształtów. Skok ten był tak gwałtowny, że ludzie starsi, naginający się ostatecznie do powolnych i stopniowych zmian, które atakują nieznacznie ich konserwatyzm, lecz zawsze oporni nagłym przewrotom, czują się dziś zupełnie zdezorjentowani i oceniają współczesne zjawiska z fałszywego, bo źle ustawionego, punktu widzenia.

Uczucie, wypowiadające się w sposób prosty, pozbawiony przesady i afektacji — budzi w nich wątpliwość co do swej szlachetności i siły. Młoda dziewczyna, nie skrępowana powijakami dawnych konwenansów, domagająca się wszystkich praw człowieczych — i młody człowiek, uznający te prawa, — wydają im się anomalją. Stosunek miłosny, wolny, czy też przypieczętowany sakramentem, lecz nie poprzedzony długim okresem zdobywania kobiety — wzbudza niesmak. Obustronna niezależność w tym stosunku — uchodzi za obojętność, lub poniewieranie moralnością. Postawienie kwestji materjalnej jasno i bez hipokryzji — identyfikuje się z brakiem idealizmu i bezinteresowności. Słowem — bierze się zawsze pod uwagę dawną interpretację uczucia i utarte metody współżycia — a ponieważ rzeczywistość tym wzorom nie odpowiada, wysnuwa się wniosek, że duch czasu wyklucza szczerą, gorącą, idealną i trwałą miłość. Tymczasem duch czasu wyklucza jedynie przeżytą formę tej miłości, która w obecnych stosunkach byłaby równym anachronizmem, jak krynolina, lub przeciążona ornamentami, barokowa budowla.

Zawrotne tempo dzisiejszej egzystencji; trudne warunki bytu, z któremi walczą zarówno kobiety, jak i mężczyźni; poczucie niepewności tego bytu; chęć bezwarunkowego wyzyskania jasnych chwil, ukazujących się na jego horyzoncie; ogólna dążność do uproszczenia ram codziennego życia; podporządkowanie realnemu sposobowi myślenia — rojeń i chorobliwego, bezcelowego zagłębiania się w przepastne tajniki wyczuwań; a wreszcie skrystalizowanie typu nowoczesnej kobiety — musiały rzucić swój refleks, nietylko na stosunek kobiety do mężczyzny, lecz także na to, co ten stosunek zacieśnia. Jest on dzisiaj taki, jakim nigdy nie był, bo obecny moment dziejowy odbiega również od wszystkiego co kiedykolwiek było. Jeśli w tym momencie jest dużo przejściowego fermentu, to i w tym stosunku są pewne zaostrzenia, które ulegną złagodzeniu, jakkolwiek jego nowa, zasadnicza forma pozostanie. A ta forma jest nietylko jedyną, która odpowiada aspiracjom nowoczesnego człowieka, ale zarazem najbardziej sprzyjającą miłości, chcącej rozwinąć szeroki lot i żyć pełnią swego przeznaczenia.

Gdybyśmy mieli możność przefiltrowania wszystkiego co się dotychczas mówiło i pisało o miłości, gdybyś-

my mogli zobaczyć nagi szkielet wszystkich zaklęć obowiązujących dawną parę kochanków, wszystkich alegorycznych porównań, przesadnych hołdów i pochlebstw, w jakich celował mężczyzna; wszystkich poetycznych zwrotów i skromnych niedomówień, w które stroiła się kobieta — wówczas dopiero zrozumielibyśmy, ile w tem było sztucznej romantyczności i bezwartościowych ozdób, jak bardzo ta miłość była nieraz kłamliwa, lub połowiczna i wynaturzona. Jej dzisiejszy wyraz, może czasem brutalny — ale szczery; jej dzisiejsza forma, prosta — ale szlachetna; jej dzisiejsza wytyczna, realna — ale i lojalna; jej dzisiejsza swoboda, przebojowa — ale naturalna, nie zawierają żadnych pierwiastków rozkładu, albo zaniku, ani żadnej groźby dla moralności. Są tylko wynikiem zjednoczenia przykazań kultury z prawami przyrody i oczyszczeniem uczucia ze wszystkich nalotów obłudy.

Potęga uczucia nie wyraża się potokiem słów, grafomanją, przyklękaniem na jedno kolano i przykładaniem ręki do serca. Wystarcza jej jedno spojrzenie i jeden uśmiech. Szczerość tego spojrzenia i prostota tego uśmiechu — są symbolem dzisiejszej miłości. RITA REY

LISTY Z WARSZAWY

BRACTWO BEZMYŚLNYCH GĄB. „PÓŁ CZARNEJ". ANATOMICZNO-FIZJOLOGICZNY RZUT OKA NA SALĘ. — ZJAWY W SZKLANCE KAWY. — GRACIAS, SENOR

Nie lubię warszawskich kawiarni. Jedne z nich — typ starszy z „piąterkiem" i pokoikami do szachów, bilardu, domina — tchną melancholją i zgorzkniałą rezygnacją rzeczy skazanych na dożycie. Drugie, te nowe, wspaniałe lokale są mi antypatyczne przez swoją publiczność. W żadnem mieście Polski czy zagranicy nie doznaję w kawiarni tego wrażenia, co w Warszawie, że ci stłoczeni ludzie nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, poco właściwie przyszli. Przyszli, no bo... przyszli; bo się wogóle chodzi. Warszawska publiczność kawiarniana to istne Bractwo Bezmyślnych Gąb.

Jeszcze jako tako czuje się człowiek wczesnem popołudniem w „Ziemiańskiej". I dlatego to pewnie, gdy mi, wciśniętemu w róg wygodnej kanapki tego lokalu, kelner podał szklankę czarnej kawy, przypomniały mi się słowa „dekadenckiego" wiersza:

Po oceanie czarnej kawy
Płynę do Wyspy Ukojenia.

Ba, dzisiaj i po nurtach mokki trudno żeglować do zacisznych portów, odkąd „pół czarnej" stało się polemicznem zagadnieniem. Czy powinien ją zapłacić za kobietę mężczyzna, znajdujący się w kawiarni w jej (t. j. kobiety) towarzystwie, czy nie. Pani Rita Rey jest w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym" jednego zdania, Boy w „Wiadomościach Literackich" drugiego, a czytelnicy Kurjera przedstawiają mozaikę opinij.

Mnie uderzyło przedewszystkiem w tym problemie tak dobitne przeciwstawienie: kobieta — mężczyzna. Dostrzegam ważkość tej różnicy, oceniam jej wartość teleologiczną i... hedonistyczną. Gdyby, jak w jakiejś fantastycznej powieści, homo sapiens miał się za jedną noc stać stworzeniem obupłciowem, to w przeddzień tak smutnej metamorfozy popełniłbym niechybnie samobójstwo. Nie powstrzymałaby mnie od niego nawet pewność, że wraz nastąpią inne fantastyczniejsze a radosne zmiany, jak koniec kryzysu lub podwyżka wierszowego.

Czy jednak czasem, wyjątkowo, naprzykład w uroczyste święta przestępnego roku, nie możnaby zamiast o kobietach i mężczyznach mówić o... ludziach? Czyż konieczne jest podkreślanie różnicy płci przy każdej drobnostce? Wieczny podział: kobieta — mężczyzna; samica — samiec; żeby już nie uprościć tej nomenklatury przez dobitniejsze terminy. Spróbowałem pod tym kątem widzenia anatomiczno-fizjologicznym spojrzeć na salę i co prędzej z przerażeniem pochyliłem głowę nad szklanką kawy.

W czarnem lusterku mokki można dostrzec wiele rzeczy ciekawszych, no, i bądźmy szczerzy, wdzięczniejszych od odbicia własnego oblicza.

Ujrzałem w niem teraz kształtny owal dziewczęcej twarzy, o regularnych rysach i pięknych złotych lokach.

Był to ubożuchny we flotę a bogaty w przesądy, prowincjonalny dom, z którego uciekła do szkoły dramatycznej. Ojciec nie chciał słyszeć więcej o córce „komedjantce"; matka czasem, pokryjomu posłała materjał na lichutką sukienczynę. Dziewczyna zarabiała trochę korepetycjami. W teatrze jeszcze przed egzaminem do Zaspu dano jej gażę... sto złotych. Miała talent. Tak twierdziła nawet skąpa w pochwałach Pallas-Wysocka.

Była całkiem odmiennych poglądów od p. Rity Rey. Spotkaliśmy się kilka razy w kawiarni. Płaciła zawsze za siebie. To był jej stały zwyczaj, z którym daremnie było walczyć. Na tym punkcie — nieprzyjęcia żadnej materjalnej wartości od mężczyzny — posiadała dumę iście przewrażliwioną.

Lecz życie jest przeraźliwie twarde. Gdy na jednym froncie skupimy wszystkie siły, załamujemy się najczęściej na innym. Życie ma swoje wymagania, ma je i teatr. Zginął raz w jednym sklepie kapelusz, w innym kombinacja, w trzecim maleńki flakonik perfum... Prysł sen o sławie, załamała się karjera sceniczna, omal nie złamało się życie.

O czemuś, dziewczę złotowłose, nie żyło w Południowej Ameryce! Zapłaconoby tam za ciebie obiad i kolację i bilet tramwajowy. Na resztę wystarczyłoby ci tych kilkadziesiąt złotych. Żyłabyś cnotliwie i uczciwie, bo niktby nie wymagał od ciebie więcej jak jednego: gracias.

Druga głowa zamajaczyła w czarnem lusterku mokki.

Poszanowanie tradycji i konwenansu było wielkie. On zawsze płacił. Podwieczorek w cukierni i bilety do teatru, kolację na dancingu i auto do domu. Płacił, bo tak chciał konwenans, bo zarabiał nieźle, bo potrafił urządzić sobie życie skromnie a radował się radością ukochanej.

Dziewczę marzyło, że całe życie jej tak przepłynie przy boku ukochanego. Pobrali się, pełni różowych nadziei. Starczyło zarobków na życie, na ubranie, lecz już nie można było wędrować z cukierni do teatru, z teatru na dancing.

— Więcej mnie kochałeś dawniej i więcej dbałeś o mnie. Siedzę i siedzę w tym domu jak na pokucie — żaliło się dziewczę.

Aż wreszcie znalazł się ktoś, kto znów zaczął płacić teatr, kawiarnie, dancingi, restauracje, auta.

Polska nie jest krajem, gdzie wystarcza jedno niedbale rzucone: „gracias, senor!"...

Prysł sen o szczęściu, załamała się linja życia, omal nie złamało się życie.

Dziwne obrazki widzi się w czarnem zwierciadle mokki.

Dopiłem resztę kawy i odetchnąłem z ulgą. Nie musiałem się dręczyć problemem zapłaty, byłem sam. A doprawdy zgubiłem całkiem orjentację w tak błahej sprawie jak „pół czarnej". S. ESSMANOWSKI

CZARODZIEJKA ETERU

LUISA RIZZI-MARCONI, SPEAKERKA RADJOSTACJI MEDJOLAŃSKIEJ

KIEDYŚ, przed kilkunastu laty, gdy radjo było wielce tajemniczem narzędziem konspiracyjnem dla małej stosunkowo ilości wtajemniczonych, — słuchając audycyj na skleconej domowemi środkami „piszczydynie", usłyszałem po raz pierwszy cudownie brzmiący głos kobiecy, zapowiadający z niebywałą finezją i wdziękiem: „Allo, Radio - Milano..." I później nieraz, przeskakując z fali na falę, usilnie, choćby raz tylko w ciągu wieczornego słuchania audycyj starałem się usłyszeć melodyjny głos, zapowiadający w kilku słowach dalszy ciąg audycji, bądź też jej koniec. Stałem się dzięki potężnemu magnesowi - głosowi speakerki — gorącym zwolennikiem i wielbicielem radjostacji medjolańskiej.

Nie byłem jednak jedynym w Europie, ba, nawet w świecie całym „poszukiwaczem" głosu signory Luisy Rizzi. Głosu jej szukało wśród rozgwaru innych stacyj tysiące radjosłuchaczy, rozsypanych od Buenos-Ayres po Pińsk i od Trömsoe po Cap-Horn. Wokoło stacji medjolańskiej utworzyła się olbrzymia rzesza radjosłuchaczy-zwolenników i dalekich nieraz przyjaciół speakerki tamtejszej rozgłośni. Czyż to nie jest cudowne? Ludzie nie znający się, zamieszkali we wszystkich niemal częściach świata, uwielbiają w setkach i tysiącach listów — głos dalekiej i nieznanej speakerki.



Niedawno Lwów miał przyjemność gościć w swych murach sign. Rizzi-Marconi (mąż jej jest kuzynem słynnego wynalazcy), odbywającą właśnie swą podróż poślubną. Korzystając z jej krótkiego pobytu, udałem się z prośbą o udzielenie wywiadu dla „Świata Kobiecego", którego wiele Czytelniczek, należąc również do rodziny radjosłuchaczy, interesuje się osobą i wrażeniami najlepszej speakerki świata. Nawiasem bowiem dodać należy, że takim tytułem prasa wszystkich krajów obdarzyła sign. Rizzi-Marconi.

Zaczynamy rozmowę banalną, jak początek każdego wywiadu. Przeskakujemy z tematu na temat, by wreszcie znaleźć „coś" naprawdę interesującego i ciekawego. Głosu mej interlokutorki mo na słuchać, jak miłej i dyskretnej muzyki. Czar i wdzięk słowa jej polega na tem, że właściwie nie mówi, jak zwykle mówią ludzie, tylko zlekka śpiewa swym cudownym słowiczym głosem.

Zapytuję się przedewszystkiem o początki pracy i o wrażenia z niej.

— Właściwie o objęcie stanowiska speakerki w naszej rozgłośni całkiem się nie starałam. Zaważył tu raczej przypadek. Jeden ze znajomych zaproponował mi, bym zgłosiła się na próbę głosową do radjostacji, gdyż dyrekcja rozpisała konkurs na stanowisko speakerki. Miałam ednak szaloną tremę, wyobrażałam sobie bowiem, że mikrofon jest jakąś olbrzymią trąbą, roznoszącą dzięki swym potężnym kształtom głos w eterze. Proszę nie zapominać, że nie-fachowcy wiedzieli wówczas bardzo mało, albo zupełnie nic o radjo. Co do swego głosu byłam zupełnie spokojna, gdyż poprzednio uczęszczałam w Berlinie do szkoły śpiewu, a głównie recytacji z uwzględnieniem rozmaitych stylów i sposobów. Przybywszy do studja na próbę, byłam nade wszystko zaskoczona brakiem owej potężnej trąby. Zamiast tego na stoliku znajdował się mały kulisty potworek — był to mikrofon, lecz ja nic o tem nie wiedziałam. Odczytawszy dany mi tekst, wróciłam spokojnie do domu. W dyrekcji radjostacji powiedziano mi, bym przyszła nazajutrz. Gdy wróciłam do domu, moi najbliżsi opowiedzieli mi, że słyszeli mój głos brzmiący doskonale. Wówczas dopiero ogarnęła mnie ponownie ta radjowa trema. Zamknęłam się w swym pokoju i przez kilka dni nie chciałam się z nikim widzieć. Dopiero listy, napływające całemi stosami, zawierające same pochwały — przywróciły mi odwagę.

— Dziś, rzecz prosta, jestem już najzupełniej opanowana i spokojna. Choć, jak mi opowiadano, wielu z pośród speakerów, czy speakerek pomimo kilkoletniej rutyny doznaje jeszcze radjowej tremy. Zresztą muszę być spokojna i opanowana, gdyż speakerom u nas żadnych błędów czynić nie wolno. Za błędy płaci się wcale poważne nawet grzywny.

— Pracę swoją kocham i uwielbiam. Bez mikrofonu czuję się osamotniona. Przyzwyczaiłam się do niego. I dlatego z wielką radością przyjmowałam zaproszenia dyrekcyj radjostacji: wiedeńskiej, katowickiej i lwowskiej — do wygłoszenia kilku choćby słów.

Trudno mi byłoby się z tą pracą pożegnać. Zbyt bowiem silny kontakt nawiązałam z mymi radjosłuchaczami, od których dostaję nieraz w okresie miesiąca — setki listów. Zbyt mi są bliscy, bym się mogła z nimi rozstać.

— Jakie wrażenie odniosła pani o Polsce?

— Ależ to jest najcudowniejszy kraj. Lwów jest bardzo pięknem miastem. Cieszę się, że zobaczę Kraków, o którym już we Włoszech słyszałam wiele zachwytów. Muszę zresztą zdradzić panu pewną tajemnicę. Otóż mój mąż, przez swą matkę jest bardzo blisko spokrewniony z kilkoma rodzinami polskiemi. A ja sama, dodaje z dumną moja interlokutorka, umiem już mówić, „do słyszenia". Prawda, że całkiem nieźle?

Kończymy tę prawie dwugodzinną rozmowę, gdyż pani Rizzi-Marconi chce jeszcze raz obejrzeć nasze miasto. Pożegnanie, wypowiedziane z czarującym uśmiechem, łączy w sobie zaprosiny do oglądnięcia kiedyś di „Radio-Milano".

— — — — — — — — — — — — — —

A wczoraj, jak błędny rycerz XX wieku, przeskakując z fali na falę szukałem już głosu czarodziejki eteru-annunciatrice rozgłośni medjolańskiej.

J. RADZIMIŃSKI

SZKOŁA PIELĘGNIARSTWA W WARSZAWIE

Z OKAZJI DZIESIĘCIOLECIA

DZIEŃ WYZNACZONY na zwiedzenie szkoły jest zimny, pochmurny i deszczowy. W pośpiechu, skulone pod parasolem mijamy z moją towarzyszką ulice śliskie i smutne. Docieramy wreszcie do nowej, wielkomiejskiej dzielnicy Warszawy. Przy zbiegu ulic Koszykowej i Chałubińskiego wyrasta przed nami wielki, nowy, sześciopiętrowy gmach — cel naszej wyprawy: Warszawska Szkoła Pielęgniarstwa.

Wchodzimy przez mały ganeczek wprost na schody i do hallu. Robi się ciepło i przyjemnie. Wszystko naokoło nowe, czyste i wyświeżone. Podaję odźwiernej nazwisko znajomej słuchaczki. Zaledwie chwilę odpoczywamy w poczekalni maleńkiej, skromnej, ale pełnej cudownie wybujałej roślinności. Wewnętrzny telefon działa sprawnie i już wita nas mała „siostra Ania". Wydaje mi się trochę zmieniona, jakby poważniejsza w swoim szkolnym uniformie — szarej, płóciennej, angielskiej sukience, ozdobionej sztywnym, białym kołnierzem i takiemiż mankietami, w czepku, niby korneciku szczęśliwie twarzowym, bo nie zasłaniającym bujnej czupryny. Całości stroju dopełnia gładki czarny krawat, elegancko po męsku związany.



Grupa uczennic w salonie

Bez wielu słów zabieramy się do zwiedzania, zaczynając od sali jadalnej, przylegającej do hallu. Sala ta jest duża, jasna, pełna zieloności, przedzielona napół dwiema kolumnami. Stoliki sześcioosobowe, drewniane, kryte czarnem szkłem — wywierają oryginalne wrażenie, błyszcząc i odbijając wszystko dookoła, niby tafla lustrzana.

Wychodzimy prosto na windę, ale z niej nie korzystamy. Wspinając się powoli po drewnianych schodach, trafiamy na mezanin (wysoki parter) — tu lewe skrzydło przeznaczone jest dla chorych słuchaczek, a pokoje nawprost schodów dla instruktorek.

Windujemy się wyżej — na pierwsze piętro. W prawem skrzydle pokazuje nam przewodniczka dużą salę, jak nas z dumą zapewnia, urządzoną po amerykańsku, t. zn. pustą zupełnie w środku, a tylko pod ścianami „zaludnioną" szeregiem krzeseł. Naprzeciw drzwi wejściowych wmurowano zamykany ołtarz, przy którym co niedziela odbywa się nabożeństwo. Sala w dni uroczyste służy na zebrania i przedstawienia, co wskazuje niewielka scenka i przylegające do niej garderoby „artystek".

Obok salon uczennic. Zapominamy na chwilę, że jesteśmy w szkole, że znajdujemy się jeszcze u nas w Polsce i w czasie takiej ogólnej nędzy. Naprawdę: luksus przestrzeni, światła, czystości i zieleni... Prostotą, wygodą i jakimś wykwintnym smakiem przemawiają do nas miękkie meble klubowe, przykryte kwiecistemi pokrowcami, duży fortepian, właściwie umieszczony, oddany wraz z gramofonem na usługi uczennic, kolorowy kilim kobiecą ręką rozpostarty przed wcale — nieamerykańskim, zacisznym kominkiem. Interesują nas zkolei podobizny kobiece, rozwieszone na ścianach. W samym środku fotografja pomnika Miss Florencji Nigthingale (Nojtingal), weteranki wojny krymskiej, która swoim rozumem, energją i majątkiem potrafiła zreorganizować i podciągnąć pielęgniarstwo do dzisiejszego poważnego i odpowiedzialnego poziomu. Obok pogodna twarz Miss Helen L. Bridge (Bridż) — organizatorki i pierwszej kierowniczki (od października 1921 r.) Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa, mieszczącej się wówczas na ulicy Smolnej w gościnnych pawilonach Polskiego Czerwonego Krzyża. Jak się okazuje, gmach który zwiedzamy, zbudowany z połączonych funduszów Rządu Polskiego i fundacji Rockefellera zaledwie od kwietnia 1929 r., uprzystępnia corocznie stu słuchaczkom przygotowywanie się w tak idealnych warunkach do przyszłej, ciężkiej pracy.



Sala jadalna

Do salonu uczennic pełnego gwaru, muzyki i gości przylega drugi, znacznie mniejszy i cichy — instruktorski — noszący raczej charakter pokoju prywatnego. — I znowu wędrujemy po schodach — drugie piętro — to serce Zakładu, skupiające w jednem miejscu warsztaty pracy, a więc: sale wykładowe, w których po sześć i więcej godzin dziennie przesiadują uczennice, słuchając wykładów instruktorek i lekarzy w trzech czasokresach teorji, przedzielonych miesiącami praktyki na klinikach uniwersyteckich — laboratorjum chemiczne, urządzone z precyzją, której może pozazdrościć nawet uniwersytet — kuchnia dietetyczna z wieloma gazowemi paleniskami, w której słuchaczki nabywają wprawy kulinarno-dietetycznej, wreszcie sala demonstracyjna, urządzona na wzór sali szpitalnej — tu przejść należy praktykę na lalkach, zanim wolno będzie zbliżyć się do chorego. W kącie w koszyczku dziecięcym spoczywa mały „Jaś", na przepisowo zasłanem łóżku leży „Marysia" i jeszcze z pod rąbka koca wystaje obojętna twarz „Zuzanny". Nawet ciągłe zabiegi kosmetyczne dbałych pielęgniarek nie zdołały upiększyć tej okropnej kukły. Ale dzięki niej potem w szpitalu zabiegi idą tak sprawnie. — I jeszcze jedna mała salka: gabinecik dla przechowywania powiększonych modeli oka, ucha, serca i t. p., oraz preparatów w spirytusie. Koło drzwi zauważamy jakąś postać, spowitą w prześcieradła. Uchylenie rąbka pozwala dojrzeć, jak nas zapewnia siostra Ania, przemiłego „Czesława" — już tylko kościste wspomnienie człowieka. — Obok niewielka czytelnia: czas jednak tak jest wypełniony obowiązkową pracą, że i tych niewielu książek niema kiedy czytać.

Wchodzimy wyżej i wyżej — wszędzie te same duże, szerokie kurytarze, pełne jakichś nieznanych mi roślin — pnących się po ścianach, jak w oranżerji. W bocznych skrzydłach na prawo i lewo pokoje słuchaczek. Jeszcze rzucamy spojrzenie z rozległego tarasu na zadeszczoną i smutną dziś Warszawę i wreszcie na „piątaku", przyjrzawszy się prysznicom, zmyślnym umywalniom i wannom — zachodzimy do pokoju naszej przewodniczki i jej koleżanki. Tu raz jeszcze powtórzyć muszę: jasno, czysto, zielono. Dwa bliźniacze łóżka, dwie bliźniacze szafy w ścianach i dwie tualetki. Na środku jak siostry sjamskie zrośnięte biurko dwuosobowe, które spokojnie wysłuchuje długich godzin gorączkowego uczenia przed licznemi egzaminami w dwudziestoośmiomiesięcznym okresie nauki.

Rozmawiamy jeszcze chwilę z prawdziwą przyjemnością. Obie nasze gospodynie wyrażają się o swej pracy ze szczerym entuzjazmem i zadowoleniem. Wprawdzie pewien procent słuchaczek nie wytrzymuje próby czasu, ale dla nich, dla tych które zostały — szpital i szkoła, instruktorki i chorzy to ulubiony świat. Czują się w nim jak ryba w wodzie.

Chorym chyba też z „Amerykankami" (tak je żartem nazywają lekarze) jest dobrze, skoro wyszedłszy szczęśliwie ze szpitala, długo jeszcze podtrzymują z niemi stosunki, skoro lecząc się prywatnie, żądają właśnie ich opieki. Stykanie się bezpośrednie z życiem, prostota i prawdziwy zapał do pracy — oto tajemnica ich powodzenia, a przekonanie o celowości tej pracy — to rozwiązanie zagadki tych młodziutkich kobiet, tak pogodnych, mimo codziennego mierzenia się z grozą śmierci.

IRENA CHOREWICZ

ŻYWOT PANI W STAROŻYTNOŚCI

NA MARGINESIE „KULTURY KLASYCZNEJ" SZCZEPAŃSKIEGO-PARANDOWSKIEGO

WIEMY DOBRZE, jak żyje kobieta doby dzisiejszej, snujemy domysły na temat kobiety przyszłości, podziwiamy strojnisie renesansu lub piękne damy dworu Ludwików francuskich.



Ryc. 1

Czy równie dużo możemy powiedzieć o kobiecie w starożytności? Niejeden powie, że tak. Wszak każdy chyba widział Wenus z Milo, zna napamięć jej wzrost, wymiary jej bioder i szerokość w pasie. Każdy wie, że Hera była zazdrosna, sowiooka Atena gardziła mężczyznami, Afrodyta ujmowała pięknością. Ale to przecież były boginie wiecznie młode i powabne, na co nie może sobie pozwolić zwykła śmiertelniczka. Nie można też oceniać kobiet starożytności miarą Heleny lub Penelopy, tak jak nie każda Polka w siedemnastym wieku — to Krzysia, Basia lub Oleńka i nie każda Litwinka karmiła kurczęta, jak Zosia z „Pana Tadeusza".



Ryc. 3

A przecież przewinęło się przez wieki tyle tysięcy kobiet, które nie były małżonkami władców, ani bohaterów, a przecież zaważyły na losach kultury klasycznej — boć niema kultury bez kobiety.



Ryc. 2

Oto stoi przed nami dama z epoki kreteńskiej (ryc. 1) (najstarsza kultura na wyspach greckich). Podczas gdy pan i władca zadowala się skromnym fartuszkiem na biodrach, pani ubrana jest z przesadną elegancją. Szata jej — to starannie skrojona krynolina, na którą opada wyszywany fartuszek; piersi są naogół odkryte, albo zasłonięte obcisłym gorsetem, względnie chustką. Włosy ufryzowane są z fantazją, lśnią wspaniałe bransolety, naszyjniki z drogich kamieni. Strój tak bogaty nie dziwi nikogo, gdyż na dworach panów kreteńskich wre życie towarzyskie, śpiewy, tańce, a wszędzie króluje pani.

Kobieta z epoki homerowej — to już nie strojna lala, ale towarzyszka mężczyzny, uświadomiona obywatelka. Młode dziewczęta oddają się ćwiczeniom gimnastycznym, uczą się śpiewu, tańca i pomagają w gospodarstwie domowem. Kobieta dojrzała — to zapobiegliwa pani domu, uczestniczy ona w uroczystościach religijnych, służy radą mężowi, pod jej okiem wychowują się córki i mali synowie. Szata jej uderza szlachetnością i prostotą. Jest to peplos, pięknie udrapowany czworoboczny kawał sukna, odsłaniający ramiona.



Ryc. 4

Prawdziwy typ kobiety greckiej — to Spartanka, zgrabna i smukła, gdyż od młodości ćwiczyła swe ciało. Jest ona, jak na owe czasy, wykształcona, zna sztukę pisania i czytania, pięknie śpiewa i tańczy, stoi wysoko pod względem etycznym i moralnym, jest patrjotką gorącą i pełną poświęcenia.

Atenka nie dosięga ideału swej spartańskiej siostrzycy, wiedzie życie ciche, skromne, pozbawione wrażeń. Ciało jej nie ma tej siły i giętkości, gdyż nie zważano na jej wychowanie fizyczne.

W życiu towarzyskiem nie bierze udziału kobieta spartańska, ani ateńska. Dzień jej zajmują kłopoty gospodarskie i odwiedziny u przyjaciółek. Oto siedzą na sofce dwie Greczynki (ryc. 2), rozmawiają zapewne o dzieciach, o wadach swej służby. Inne uczucie maluje się na twarzy pięknej pani, wygodnie rozpartej na krześle (ryc. 3). Myśli ona może o tem, że mąż przemawia na zgromadzeniu, syn grzeje w słońcu młode swe ciało, ona zaś siedzi samotna i opuszczona... Może w głębi duszy zazdrości tym przybyszkom z kolonij, które swobodnie obracają się w towarzystwie mężczyzn, dorównują im wykształceniem i nie muszą dbać o opinję. Może duma nad tem, że nie kocha wcale swego męża, nie pobrali się z miłości, nie znali się przedtem, rodzice zawarli układ i złożyli posag, nie pytając wcale o zdanie córki.

Nie widać też radości, tylko zaciekawienie na twarzy pani, której przynoszą klejnoty i ozdoby, przywiezione przez małżonka z wyprawy wojennej (ryc. 4).



Ryc. 5

Emancypacja kobiet w starożytności postępowała powoli, ale skutecznie. Jakże inna jest rola niewiast w epoce hellenistycznej. Dziewczęta wyrwały się z domu, uczęszczają do szkół publicznych, niekiedy nawet koedukacyjnych i uczą się nieomal narówni z chłopcami. Kobiety biorą żywy udział w życiu towarzyskiem, więc i szaty ich są strojniejsze; wchodzą w użycie jedwab i piękne tkaniny azjatyckie. Fryzura ich jest kunsztowna, mają pełno wykwintnych przyborów toaletowych.

W Rzymie ciężkie początkowo warunki życiowe wytworzyły inny typ kobiety, odrazu już bardziej dojrzały. Rzymianka w okresie Rzeczypospolitej wychowuje się i kształci w domu pod okiem matki. Dziewczęta biedniejsze uczęszczają do publicznych szkół koedukacyjnych. Tak jedne jak i drugie umieją czytać, pisać, rachować, recytują utwory poetów, grają, śpiewają, tańczą. Wychowanie ich fizyczne jest zaniedbane. Rzymska matrona otoczona jest czcią i szacunkiem. Zajęcia jej nie ograniczają się do gospodarstwa i wychowania dzieci — utrzymuje ona stosunki towarzyskie, uczęszcza do teatru, do cyrku. — Emancypacja kobiet rzymskich następuje za czasów cesarstwa. W okresie tym niejedna piękna pani utrzymuje salon, w którym gromadzi znane osobistości. Elegancka dama ma pięknie urządzony dom w Rzymie i rozkoszną willę za miastem, gdzie spędza upalne miesiące lata. Do wymogów dobrego tonu należą dalekie podróże, zwiedzają więc bogate Rzymianki Grecję, Egipt, Małą Azję i daleki Wschód. Tak więc kobieta w starożytności ma wiele z przywilejów kobiety współczesnej, ale bez jej obowiązków i ciężarów.

Dr ZOFJA KRZEMICKA

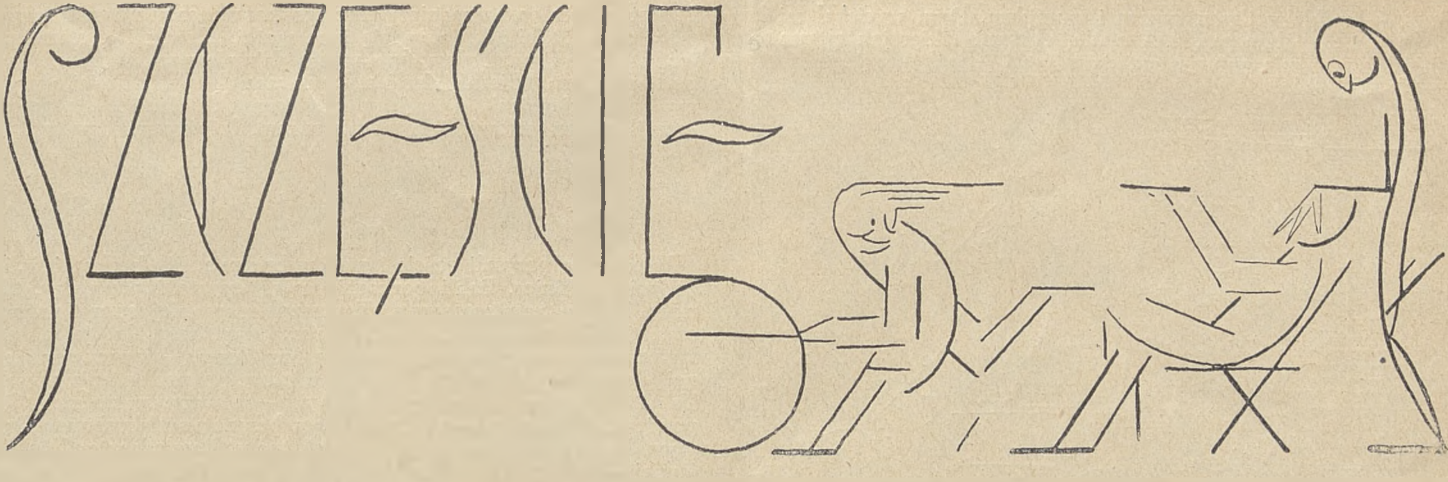
*DYDONA**

TRANSKRYPCJA Z WERGILEGO

Królowa już oddawna ciężką tai ranę
W piersiach i skrytym ogniem w cichości się trawi.
Nie chce ustąpić z myśli wielka męża sława —
W samą głąb serca weszły jego usta, oczy,
Jego słowa — aż ciało z niepokoju gore...
Próżno biedna ołtarze hojnym pełni darem,
Próżno dzień każdy znowu od ofiar zaczyna,
Próżno w dymiące trzewia trwożne wlepia oko.
Lecz cóż wiedzą wieszczbiarze? Co pomogą wota?
Czyż szalonemu sercu niosą ulgę dary?
Wżarł się do szpiku kości ból i drwi z ofiary —
Cios utajony w sercu krwią gorącą broczy.
Pali się biedna Dydo i po mieście krąży
Nieprzytomnie, jak łania ugodzona grotem,
Gdy w nią zbliska — niebaczną — wbił pasterz bełt [ostry
I, nie wiedząc, zostawił drgające żelazo.
Ona ucieka, bory przebiega i haszcze,
A w boku wciąż tkwi trzciny śmiercionośnej ostrze.
To z sobą Eneasza środkiem miasta wodzi,
Dostatki mu wskazuje, zgotowione mury,
I już usta otwiera i wpół słowa stanie —
To znowu o dnia schyłku uczt znajomych szuka,
Żeby, nienasycona, jego przygód słuchać —
A gdy gość mówi, wzrokiem wargi jego chłonie.
A skoro się rozejdą i światło księżyca
Zblednie i nawet gwiazdy skłonią drżące lica —
Sama się w pustym domu smuci — —

IDA WIENIEWSKA

* *Obchodzone przez cały świat kultury łacińskiej dwutysiąclecie urodzin Wergilego niech tu wskrzesi na chwilę postać mitycznej założycielki Kartaginy, nieszczęsnej królowej Dydony, której losy opiewa IV księga „Eneidy”, księga tragicznej miłości.* *Red.*



Wczoraj odwiedził mnie fakir. Prawdziwy fakir indyjski. Tak. Może to się wydać dziwne, niespodziewane, nieprawdziwe, — a jednak tak. Był u mnie fakir. Prawdziwy fakir indyjski. Fakir, który ma chudą twarz, ramiona i uda. Fakir, który robi cuda. Dlaczego, z jakiego powodu, skąd się wziął u mnie? — Nie powiem. Niech Was ta sprawa intryguje, nie daje spokoju, spędza sen z oczu. Nie powiem nic więcej nad to, że był u mnie fakir. Prawdziwy fakir indyjski. Fakir o kościstej twarzy, ramionach i udach. Fakir, który robi cuda.

Na werandzie mego domu siedzi fakir. Prawdziwy fakir indyjski.

Na werandzie mego domu siedzę ja.

Na werandzie mego domu siedzimy obaj: ja i fakir. Prawdziwy fakir indyjski.

Rozmawiamy.

O szczęściu.

— Fakirze, wylecz mnie z cierpienia. Fakirze, naucz mnie szczęścia.

— Wiele żądasz. To najtrudniejszy cud.

— Dlaczego?

— Bo ludzie nie chcą być szczęśliwi. Szczęśliwi nie wierzą we własne szczęście. Jest tylko wiara w szczęście... cudze.

— Fakirze, prawdziwy indyjski fakirze, — patrz. Widzisz te dzieci, igrające na kwiecistym klombie mego dziedzińca?

— Widzę.

— Czyż nie są to najszczęśliwsze istoty pod słońcem?

— Nie.

— Fakirze, prawdziwy indyjski fakirze, głupstwa mówisz. Tracę do ciebie szacunek. Dzieci nie są szczęśliwe?

— Czy chciałbyś być dzieckiem?

— A któżby nie chciał bawić się, śmiać i skakać? Naturalnie, że chciałbym być dzieckiem.

— Jesteś! — powiedział fakir i zaczął wpatrywać się we mnie oczami, przez które widać życie pozagrobowe.

Usłyszałem zaklęcie:

— Brahmaputra — budda — gandhi — maramba — katakumba — kassandra — salej alejkum — zaratustra — nagasaki — mazagran — jamajka — bałałajka — rin-tin-tin.

Zacząłem topnieć. Poprostu topnieć. Kurczyłem się, zmniejszałem, malałem, drobniałem.

Spostrzegłem, że jestem dzieckiem.

Psiakrrrew, — mruknąłem przez zęby, — i czekałem co będzie dalej.

* * *

— Józiu, wyjm palec z noska.

Zastanowiło mnie to, że mamusia nie ma poważniejszych zmartwień od interesowania się rzeczą tak z punktu widzenia dziejów ludzkości nieistotną, jak kwestja miejsca pobytu mego palca. Co jej to właściwie szkodzi? — myślałem, nie przerywając ulubionej rozrywki.

— Józiu, wyjm palec z noska!

Rósł we mnie upór. Jakto? Własnym palcem we własnym nosie nie wolno? Z czyjemi interesami to koliduje, czyim interesom ta czynność zagraża? Dla mnie jest pożyteczna. Pomaga w myśleniu. Właśnie teraz, gdy roztrząsam zagadnienie gwałcenia przez mamę wolności osobistej dziecka, wybitnie mi ułatwia jasne i ścisłe formułowanie sądów.

— Józiu, wyjm palec z noska!!

Tym razem słodki i dźwięczny głos mamy zabrzmiał złowrogo. Doznałem lekkiego przeczucia nieszczęścia. Nie zmieniając położenia palca, wstrzymałem jego ruch wirowy. Posłuchać? Ulec? Nie, — to poniżyłoby moją godność osobistą. Dlaczego? — myślałem uporczywie. Nikt nie zmusza mamy do trzymania palca w nosie, czemu zmuszają mnie, bym go tam nie trzymał? Co za przebrzydły egoizm!

Rozpocząłem zwolna ruch obrotowy.

— Józiu, wyjm palec z noska!!!

Głos mamy był przeraźliwym dźwiękiem trąby Sądu Ostatecznego. Nastąpiło krótkie spięcie dłoni matczynej z pogardzaną częścią mego ciała. Huk. Ból. Na znak protestu zacząłem ryczeć jak syrena fabryczna. Krótkie spięcia się powtarzały. Z oczu trysnęła mi fontanna łez. Bezsilność i poczucie krzywdy, ból i nienawiść do ludzi zalały mi serce goryczą. Czułem się najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem i księżycem.

* * *

Zostałem sam w domu. Rózia wyszła do sąsiadki, a naprawdę, to pewnie poszła spotkać się z tym strażakiem. Nic mnie to zresztą nie obchodzi. Mój Boże, jeżeli to dorosłym sprawia przyjemność, — niech się kochają. Żadna rozrywka nie hańbi. Usiadłem w fotelu tatusia przy biurku i bawiłem się w dorosłego. Właściwie ci dorośli różnią się od nas, dzieci, tylko wymiarami, siłą fizyczną i odmiennością sposobu myślenia. Wziąłem z pudełka cygaro, obciąłem i zapaliłem. A gdyby tak kieliszeczek likieru? Wdrapałem się na pierwsze piętro kredensu, wydobyłem butelkę i kieliszek, poczem ze zdobyczą wróciłem do biurka. Nalałem, wypiłem. Słodkie i mocne. Nic szczególnego. Owinąłem się, — jak mówią lite-



Spostrzegłem, że jestem dzieckiem.

raci, — w kłęby dymu cygara i marzyłem. Dym wyciskał mi łzy z oczu i drapał w gardle. Wogóle, zarówno likier jak cygara nie budziły we mnie entuzjazmu, dawały mi jednak przyjemność natury subtelnie moralnej. Zapadłem w stan zadumy o zabarwieniu dość pesymistycznem, z której mnie wyrwał okrzyk mamy:



Zapadłem w stan zadumy o zabarwieniu dość pesymistycznem, z której mnie wyrwał okrzyk mamy...

— Józiu, bój się Boga, co ty robisz?!

Nie widziałem powodu, dla którego miałbym wywołać w sobie lęk przed Bogiem, natomiast, mimo czystości sumienia, odczułem strach przed mamą. Nie zadałem sobie trudu odpowiadania na pytanie, wiedziałem bowiem, że ma ono charakter retoryczny. Zresztą, nie było nawet czasu. Zostałem brutalnie oderwany od fotela, zgięty pod kątem 90° i ustawiony w pozycji, która w innej sytuacji byłaby potępiona przez mamę, jako kolidująca z dobrem wychowaniem i szacunkiem dla starszych. Nastąpiły — och, jak dobrze mi znane — gwałtowne zetknięcia ręki z miejscem nie posiadającem legalnej nazwy. Na znak protestu zacząłem wierzgać nogami, co wywoływało tem bardziej gwałtowną reakcję bezlitosnej ręki. Kochałem mamę i nie miałem do niej pretensji. Wiedziałem,



Zaczęła się rozpaczliwa walka.

że jest ona tylko narzędziem głupiego konwenansu i bezsensownej moralności. Robi tak, jak robią inne matki. Zło tkwi w sferze pojęć, a nie faktów. Byłem tym razem dziwnie wyrozumiały. Może pod wpływem likieru? Zamiast łagodzącej ból nienawiści, targało mą duszą cierpienie o zasięgu kosmicznym. Czułem się najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, księżycem i gwiazdami.

* * *

Wieczorem przyszli goście i grali w bridge'a. Pili bezkarnie wódkę, wino i likier. Palili bezkarnie fajki, cygara i papierosy. Gra mnie bardzo zainteresowała. Zauważyłem w niej sporo nonsensów, śmieszności, a przedewszystkiem kłamstwa. Np. jeden pan krzyczy w pewnym momencie: złapałem damę, — tymczasem żadnej damy w pokoju nie było, bo nawet mama wtedy wyszła. Tatuś kilka razy mówił: pan chodzi, — a wszyscy siedzieli. Raz powiedział: leżymy, — co było wręcz bezczelnem kłamstwem, któremu krzesła zaprzeczyłyby, gdyby umiały. Powiedzenie: leżę bez jednej — wydało mi się bardzo nietaktowne i dwuznaczne. Jeden pan, pan pułkownik, mówił ciągle: pas, — co miało pewien związek z jego umundurowaniem, nie miało natomiast żadnego logicznego związku z prowadzoną przy stole rozmową. Używano także bez żadnego uzasadnienia wyrażeń z dziedziny kryminalistyki, takich jak: bije, zabił, kradnie, wsadza i t. p.

W pewnej chwili usłyszałem, że tatuś jest na ręku. Było to tak oczywistym nonsensem, że nawet tatuś protestował, ale, gdy go wszyscy zaczęli przekonywać i dowodzić, — uwierzył i z pewnem wahaniem powiedział: hm, rzeczywiście jestem na ręku. Byłem oburzony i pogardzałem w tej chwili dorosłym człowiekiem, który dał wmówić w siebie taką brednię.

Wogóle rozmowa obfitowała w szereg wyrażeń bardzo dziwnych, bardzo niemądrych i bardzo niezrozumiałych. Szumiało mi w głowie od impasów, konter, szlemów, koronek, bezatów itp. — W pewnym momencie postanowiłem wmieszać się do rozmowy i gdy pan pułkownik, drapiąc się w głowę, zapytał: psiakrew, gdzie jest dama? — palnąłem bez wahania: dama kradnie koronkę. Goście wybuchnęli śmiechem, a tatuś spojrzał na zegarek:

— Józiu, idź spać.

Spokojnie, ale stanowczo, odmówiłem. Powiedziałem poprostu: nie.

— Józiu, idź spać!

Upór tatusia zaczął mnie denerwować. Ponieważ z doświadczenia wiedziałem, że przekonywanie ludzi starszych jest bezcelowe, zaciąłem zęby i milczałem.

— Józiu, idź spać!

Wyraz twarzy tatusia nie rokował nic dobrego. Chcąc zyskać na czasie, wstałem i zacząłem rozglądać się dokoła. Wzrok mój zatrzymał się na panu pułkowniku. Odrazu zorjentowałem się po jego uśmiechu, że jest po mojej stronie. Bez wahania wskoczyłem mu na kolana i schwyciłem mocno obiema rękami za pas.

— Józiu, ostatni raz cię proszę, idź spać!

Zimno mi się zrobiło. Już chciałem iść, ale zrozumiałem, że to byłoby tchórzostwo. Czułem, że pan pułkownik czeka na awanturę. Nie mogłem mu zrobić zawodu. Nie mogłem zawieść jego zaufania. Kurczowo ścisnąłem pas i nogami oplotłem wojskowe kolano.

Ojciec wstał i złapał mnie wpół. Zaczęła się rozpaczliwa walka. Pan pułkownik zachęcał mnie do opuszczenia kolan, ale wiedziałem, że robi to nieszczerze, ze względu na tatusia. Broniłem się jak lew. Urwałem pułkownikowi 3 guziki, rozdarłem mu spodnie, przewróciłem stolik. Niestety, musiałem ulec. Brutalna przemoc zaniosła mnie do sypialnego pokoju i tam zaczęła się egzekucja. Ryczałem jak stado rannych bawołów. Wiedziałem, że mój krzyk słyszą goście i to mi dodawało sił. Świadomość, że mam liczne audytorjum, wpływało na intensywność ryku. Przybiegła matka i przerwała wymiar niesprawiedliwości. Ojciec poszedł grać w bridge'a. Byłem wściekły. Do rozpaczy mnie doprowadziła ta zimna krew tatusia. Nawet się nie obejrzał, wychodząc. Och, nie być dzieckiem, nie być dzieckiem. Co za upokarzająca sytuacja. Czułem się najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, księżycem, gwiazdami i drogą mleczną.

* * *

Fakir, prawdziwy fakir indyjski, fakir, który ma chudą twarz, ramiona i uda, fakir, który robi cuda, — zgasił blask oczu, w których widać życie pozagrobowe.

Stałem się znowu dorosłym człowiekiem.

— Fakirze, prawdziwy indyjski fakirze, straszna jest dola dziecka.

— Nie wierz w cudze szczęście, synu namiętności, wierz we własne.

— Wierzę, fakirze, prawdziwy indyjski fakirze.

— Jajka, fajka, bajka, jamajka, bałałajka, rin-tin-tin, — powiedział mi na pożegnanie w swym rodzimym języku fakir i pragnąc zdążyć do Indyj przed zamknięciem bramy, pośpiesznie opuścił mój dom.

JÓZEF CZYŚCIECKI

WŚRÓD KSIĄŻEK



TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN

TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN: Cień porucznika Guardo. Powieść. — Warszawa 1931.

Tadeusz Michał Nittman debjutował jeszcze przed dwunastu laty, czyli podczas wojny i — oczywiście — lirykami. Autor wojował. Jak — inni na innych kartach o tem pisać będą, naszym obowiązkiem jest zaznaczyć, że lwowianin ten, zagnany w czasie Wielkiej Wojny na Wschód islamski, po wojnie, też dolą żołnierza-tułacza, zawędrował na odmianę na ten „Wschód", który od nas leży mocno na Zachód, był bowiem w płn. Afryce francuskiej.

W tem leży geneza, dlaczego po pierwszej swojej powieści, „Mój przyjaciel Igor", która już rozgrywała się w europejskim kręgu kultury islamskiej, pozostał wierny tematom orjentalistycznym, czyto w powieści („Jej chłopiec"), czyto w doskonałych opisach podróży („W cieniu palm i minaretów"), czyto w licznych feljetonach, rozrzuconych po pismach, wygłaszanych z estrady i przed mikrofonem. Nawet najnowsza powieść Nittmana o cieniu por. Guardo, chociaż rozgrywa się przeważnie w Paryżu, przecież nabiera najcieplejszych barw, gdy bohater albo dotyka ziemi saraceńskiej, albo goni ją wspomnieniami (bohaterem jest Polak, przez fatum dziejowe zagnany do marynarki handlowej francuskiej).

Mimowoli poeta-żołnierz i miłośnik Wschodu nasuwa nam myśl o — Byronie. Naturalnie, że nie należy czynić zestawień (które zazwyczaj bywają... niedorzeczne), ale Andrzej Guardo (niegdyś zwał się — Gwarda) ma naprawdę coś z postaci bajronistycznych, jest to dzisiejszy Lambro, tylko prawdziwszy, zwyczajniejszy. Człowiek zmęczony, posępny, bez kotwicy moralnej, zdany na łaskę i niełaskę morfiny, wyczarowuje dokoła siebie smutek i grzech. Co więcej — cierpi na rozczepienie jaźni moralnej, dręczy go zagadka zaświata. Autor usymbolizował to — cieniem, odbitką zwierciadlaną. Lecz myliłby się, ktoby sądził, że obdarzył nas nową powieścią „czwartowymiarowo-fantastyczną". Autor posługuje się z finezją temi symbolami, aby analizować każde drgnienie duszy, aby rozwijać przed oczyma naszemi, wprost namacalnie, dramat wewnętrzny. Dlatego użył formy, w której można wypowiedzieć się najbardziej szczerze i najbardziej bezpośrednio — formy pamiętnika.

Wrażenie potęguje język autora, podkreślający dwoistość duszy już to tonami subtelnie poetycznemi, już to prozą realistyczną, wprost kanciastą. Nowa powieść powinna znaleźć wielu czytelników, akcja bowiem ogromnie zaciekawia, a z każdej niemal strony bije wielka namiętność — mocniejsza nad życie miłość Andrzeja do Edyty.

Szkoda, że „Cienia" nie wydała jakaś wielka firma, która postarałaby się o powabniejszą szatę zewnętrzną, głośniejszą reklamę i — sfilmowanie tej nawskróś kinetycznej powieści, mogącej dać popisową rolę dla aktora o zamiłowaniach psychologicznych. S. PRZ.

„PUKAŃ"

4)

Ach, ty głupia, głupia, aby było piękne, aby się podobało mężczyznom. — Ta trzecia chce zdać maturę jak najprędzej. Ma narzeczonego, wychodzi zamąż. Leży na łóżku i gryząc cukierki czyta przemycane listy od niego. Czasem czyta głośno całe ustępy. Niuka siedzi na łóżku Gracji i układa jej włosy w różne fryzury. Ruchem leciutkim (soeur Alphonse) gładzi jej kark, splata swoje białe ramię z gładkiem, bronzowem ramieniem Gracji, przykłada pełną kobiecą nogę do jej szczupłych, smukłych nóg i mówi — popatrz. — Śmiejąc się mówi, że cywilizuje Grację. Jest dobra, bardzo dobra, perfumuje Gracji jasiek i przykrywając ją, szepce: masz cudowne rzęsy. — Aż raz, niewiadomo już której nocy, gdy Gracja budzi się z krzykiem, Niuka uspokaja ją i wsuwa się pod jej kołdrę.

— Gdyby tak zapalić światło i zobaczyć nasze splecione ciała — moje takie białe — myśli Niuka.

A Gracja myśli o pewnym trylerze w wiolinie, który powtarzany od pianissimo do forte budzi taki sam dreszcz — jak błądzące ręce Niuki.

Głęboki, ukryty nurt porywa Grację. Gdy pewnego dnia staje na estradzie w konserwatorjum, nie myśli już o swej czarnej odrębności. Ogląda chwilę swoje ręce rozłożone na klawjaturze i mierzy wzrokiem doskonałą smukłość każdego palca, a potem gra. Każdą nutę pamięta niezbicie, a jednak wydaje się jej, że to nie to samo. Zresztą jest jej wszystko jedno co to jest. Gra samą siebie.

Pod gradem oklasków wstaje zdziwiona i plącze się niezgrabnie w ukłonie. Pociąga ją rozszeptana gorączkowo nauczycielka — masz szczęście, pomyśl, jest tu na sali sławny muzyk, profesor, chce ciebie poznać. Sławny muzyk, profesor? Ten młody pan?

— Świetnie, panno Gracjo, świetnie. Talent, żywiołowy talent. Tylko nie zaniedbać, iść dalej. Po skończonym kursie koncertowym wyjechać za granicę.

Nauczycielka przejęta, pośredniczy, opowiada „klasztor — matka przełożona".

Gracja myśli nagle o sobie, o całej sobie. Wzrokiem tego pana widzi doskonały kształt swej gładko uczesanej głowy, lok na okrągłem czole, półksiężyce oczu pod opadłą rzęsą, gładkość szyi i jawną wyniosłość piersi i spadek bioder ku najpiękniejszym nogom.

— Hm — ten pan uśmiecha się uśmiechem, który nie dochodzi do chłodnych oczu, i mówi — zostaję tutaj kilka tygodni. Mogłaby pani przychodzić do mnie na lekcje. Rozmówię się z matką przełożoną.

— Gracjo, podziękuj mistrzowi! — mówi nauczycielka.

— Gracjo, podziękuj Panu Bogu. Chyba dusza siostry Klary wyprosiła ci taką łaskę — mówi matka przełożona.

— Gracjo, podziękuj mi, gdyby nie fryzura, którą ci zrobiłam... mówi Niuka.

A potem zaczęło się to zaraz. — Czy pani wie o tem, pani jest pięknością — proszę powtórzyć ten pasaż — jeszcze raz — tak, teraz dobrze. —

— Pani jest egzotyczną pięknością. Widziałem w Paryżu — źle, panno Gracjo — więcej forte, — widziałem Murzynki, uchodziły tam za piękne, ale nie mogą się równać z panią.

— Gracja, malutka Gracja — lubię pani imię. Powta-

rzam je często, gdy jestem sam. O, słyszy pani, to te dwa bemole — Gracja, Gra-cja. —

— Dziecko, jestem dziś zmęczony, nie graj, siadaj tu przy mnie. Daj ręce. Pokaż oczy. Cudne oczy — jak tajemnica. Gracjo, wiesz co to jest tajemnica? A co to jest miłość?

Gracja wracając z lekcji, stoi chwilę przed furtą i wpija sobie paznokieć w ciało. Daje sobie przestrogi i rady: Gracjo, obudź się i zapomnij melodji tamtych słów. Pamiętaj co to jest tajemnica.

Gracja jest jak naczynie napełnione gęstym, słodkim sokiem. Uważa, aby nie uronić ani kropli a jednak czasem — —. Uśmiecha się, sobie samej, swoim myślom i jemu, jemu, jemu. I powierza sobie w zaufaniu ciągle tę samą nowinę — wiem co to jest miłość. To jest to niepokonane, które związało ręce Gracji z jego rękami. Potem poddało jej usta jego ustom. To, co tam, u niego rozwiązuje wszelkie więzy, podpowiada słowa nigdy niesłyszane i uczy ją giętkich, oplatających gestów. To, co ją czyni szaloną, wijącą się i wyrywa jej dzikie, chrapliwe okrzyki. Gracjo, jesteś szczęśliwa, bezwstydnie szczęśliwa!

Jest czerwiec. W ogrodzie okwitają drzewa. Zostają ukryte w liściach, nagie zalążki owoców. Maturzystki zdały maturę i odjechały. Gracja oddycha. Odjechała Niuka, zła teraz, dokuczliwa, kpiąca, wiedząca wbrew zaprzeczeniom. Ręce opadają łagodnie. W ciągu wielu nocy zaciskały się kurczowo, gdy pod powieką jawiła się nienawistnie biała szyja Niuki.

Jest czerwiec. Dom pustoszeje. Po gorączce egzaminów, świadectw, popisów nastaje spokój. Furta zamyka się wreszcie i siostra furtjanka siada ciężko na ławie. Przychodzi czasem listonosz, dostawca, ktoś w odwiedziny i odchodzi na lekcje Gracja. I powraca. Chodzi naturalnie sama. Byłoby to nie do pomyślenia, gdyby była białą dziewczyną, ale tak.

— Gracjo, spóźniasz się teraz z lekcji, co to znaczy, gdzie chodzisz?

— Nigdzie, proszę siostry, naprawdę, że tylko na lekcję i zpowrotem. Tylko pan profesor przedłuża lekcje — bo — wkrótce — wyjeżdża.

Głos Gracji drży. Wyjeżdża. Tak powiedział i patrzył w okno, na ulicę ślepiącą słońcem. Głos miał bezdźwięczny i znużoną twarz. A teraz każde słowo towarzyszy rytmicznie krokom Gracji. Nie do zniesienia jest ten dom napełniony echem.

W ogrodzie, między murami rozszumiały się wiatrem drzewa. Ciasno im. Wszystkim ciasno tutaj. Pod nogi spadają malutkie, zielone jabłka. Lipiec już się zaczął a spadłe z drzewa jabłka nigdy nie dojrzeją. Zgniją. Tu jest miejsce, gdzie zawsze w ciągu wakacji siedziała siostra Klara z Gracją, podczas gdy nad ogrodem przechodziło ciche, w murach uwięzione lato.

To było, ale teraz jest upał, ciężki, męczący. Głowa boli, całe ciało nabrało dziwnej wagi, stało się zawadą. Zapach nikotiany mdli. Gracja wraca do domu i kładzie się.

Codziennie, przychodząc tam, do niego, czeka na to słowo — już — dzisiaj. I rozpaczliwie czepia się rąk, kolan, mówi zbyt wiele, krzykliwie, śmieje się i płacze, żąda pocałunków, pieszczot, a potem odchodząc rozpamiętuje każdy znudzony, niechętny gest i każde słowo tłumaczy na dziesięć sposobów.

Idzie ciężko, z pochyloną głową i staje przed domem, w którym matowe szyby są jak powleczone bielmem oczy. Patrzy bezmyślnie na przejeżdżający dokądś tramwaj i hukiem eksplozji budzi ją lekki trzask zgniecionej na szynach pestki. A w domu są klasy i kurytarze napełnione echem. Schody są bez końca. Lekko niosło się na nie radość, ale smutek jest ciężki do udźwigania. Gracja spotyka zakonnice, rozmawia i odchodząc przeraża się. Nie pamięta co mówiła. A może to były cienie? Takie, jak ten zapomniany cień pochyłej postaci. Gdyby spotkać, gdyby powiedzieć wszystko, wszystko. Siostro Klaro?

Najgorsze są noce. Ciemność jest gęsta i dławiąca. Pustka dźwięczy w różne tony. Otwarte oczy widzą przez drzwi i ściany. W udręczonym mózgu wiążą się pytania, na które niema odpowiedzi. Gdy zmęczone ciało tonie już w śnie, nerwy — nagłym podrzutem — wyprowadzają je znowu na ciemną powierzchnię świadomości.

Ranek wlecze się nieskończenie. Muzyka jest bez treści. Etjudy mają wartość dziesięciu minut, sonaty — kwadransa i tak dalej do południa i do godziny czwartej. Gdy wkońcu niecierpliwemi ruchami Gracja zbiera się do wyjścia, wołają ją do matki przełożonej.

Zbiega szybko do jadalni i pod obrazem serca Jezusowego staje. — To już było, widziala to kiedyś. — Idzie uśmiechnięta matka przełożona i mała siostra Benedykta, soeur Alphonse i siostra Immaculata. Zbliżają się — tylko tej kartki papieru nie pamięta.

— Gracjo, dostałam list od profesora. — Posłuchaj: „Przewielebna Matko! Wyjeżdżam i z żalem prawdziwym muszę pożegnać moją najzdolniejszą uczennicę, pannę Grację. Równocześnie pozwalam sobie przesłać skromną sumę — na jej dalsze kształcenie. Z wyrazami prawdziwego —

— Gracjo! — cóż tak stoisz — masz doprawdy szczęście — mówi matka przełożona i śmieje się i porusza się szybko. A Gracja otwiera usta szeroko, pokazuje wszystkie zęby i śmieje się dziwnie skrzekliwym śmiechem, poczem urywa nagle i z wyrazem zdziwienia mówi powoli —

— a ja będę miała dziecko. —

— Gracjo! Oszalałaś! Jakie dziecko! — Gracja patrząc w oczy matki przełożonej, w oczy, które wyłażą z twarzy jak kasztany z łupiny — powtarza spokojnie —

— będę miała dziecko z nim. —

Boże! Boże! Matka przełożona skręca się w miejscu i podnosi ręce nagłym ruchem.

Siostry krzyczą. Czarne habity furkoczą jak skrzydła a cofającą się Grację olśniewa wspomnienie — tam — na dole, siostra Klara — ona pomoże.

Więc rzuca się prosto przed siebie, w drzwi otwarte, w mały, ciemny przedpokój, na wąskie, strome schody. Zbiega w głąb do sieni ciemnej, gdzie u końca świecą się i gasną oszklone drzwi. Siostro Klaro! Siostro Klaro!

W mroku zatacza się. Pod błądzącemi rękami puste szafy dudnią głucho. Z ciemnej kryjówki między szafami wypełza strach — „pukań". Z góry biegnące kroki, głosy niezrozumiałe otaczają Grację wirującem obłędnie kołem. — „Pukań!" — uciekać!

Do kaplicy — tu siostra Klara a może — Bóg.

Kaplica lśni chłodnym połyskiem. W szeregowym porządku klęczników, ławek, przed wyniosłym ołtarzem — niema nikogo. Siostro Klaro!

— Nie tutaj. — Jest pewnie tam na górze, w małym pokoiku na trzeciem piętrze. Biegnij Gracjo, prędko, śpiesz się, za tobą „pukań" trop w trop. Wszystko przeminie, wszystko się wyjaśni — gdy znajdziesz siostrę Klarę.

Te drzwi. Zamknięte. Czoło opiera się o szybę. W pokoju ciemna, pochyła postać napina białe płótno na czarnym krzyżu parawanu.

— O siostro Klaro! Otwórz, to ja, mała czarna Gracja.

Postać odwraca się i patrzy w Grację złośliwemi oczami. Siostra z krzywą szyją!

Zmęczonaś, Gracjo. Bardzo. Oprzyj się o balustradę. Nad gankiem jest niebo z płaskiego błękitu a pod niem jest spokojna głąb. Przechyl się. Prędzej, prędzej — siostra z krzywą szyją nadchodzi.

JANINA OSIŃSKA

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

Dok.

Omawiane w poprzednim artykule środki sztucznego regulowania ciepłoty w naszym organizmie służą do ochrony ciała przed nadmierną utratą ciepła.

Ale do zdrowia i do wyższego rozwoju potrzebuje człowiek jeszcze czegoś więcej ponadto — oto musi organizmowi dostarczać poprostu opału, naładowywać go ciepłem stale i na zapas. Wśród środków służących jako opał na pierwszem miejscu należy wymienić słońce. Życiodajne jego działanie znane jest wszystkim, a kto raz zaznał rozkoszy słonecznej kąpieli zawsze do niej tęsknić będzie. Ponieważ jednak w naszym klimacie więcej mamy dni zimnych i pochmurnych niż słonecznych, nawet podczas lata, powinniśmy — nie mogąc czerpać wprost z przyrody — starać się zastąpić ciepło słoneczne sztucznym opałem. Musimy bowiem zrozumieć, że istnieje nietylko głód żołądka, ale i głód ciepła, który dyktuje co najmniej równie przemożne prawa.

Na brak dostatecznej ilości ciepła cierpi duży procent ludzi, np. wszyscy niedokrewni, wszystkie jednostki obciążone blednicą, a także wegetarjanie, o których potocznie się mówi, że są niedożywieni, zagłodzeni. Ale ich głód jest innej natury i nie o pożywienie w tych przypadkach idzie, lecz o niezbędną ilość ciepła dla ciała.

Słońce jest cudownem źródłem ciepła, z którego czerpać powinniśmy wedle możności jak najwięcej. Oprócz regulowania ciepłoty ciała, wywiera nader korzystny wpływ na przemianę materji, przyśpiesza procesy spalania się i wydzielania z organizmu kwasów, oraz rozmaitych szkodliwych zaległości.

Racjonalnie stosowane kąpiele słoneczne użyczają ciału zapasu świeżych sił i odporności, działają kojąco na system nerwowy. Również i sztuczne nagrzewanie ciała gorącemi zabiegami wodnemi, o którem pomówimy później. Niesłuszne jest bowiem mniemanie, że tylko pożywienie podtrzymuje siły ludzkie, gdyż oprócz niego spełnia tę rolę także ciepło, i dopiero oba te środki t. j. chemiczne, pożywienia i fizykalne, ciepła uzupełniają się doskonale. Organizm naładowany dostatecznie ciepłem, potrzebuje mniej pożywienia aniżeli wyziębiony, co jest dowodem, że ciepło może w pewnym procencie zastąpić pożywienie.

Naładowanie ciała dostateczną ilością ciepła jest jednym ze środków prowadzących do wyższego rozwoju fizycznego a zarazem, rzecz jasna, intelektualnego. Narody, które nie mogą czerpać sił z energji słonecznej, skazane są na zagładę.

Jak ważnym czynnikiem w życiu człowieka jest brak ciepła, dowodzą różne choroby powstające z przeziębienia, a zatem z braku dostatecznej ilości ciepła, jak np. chociażby różne zapalenia i katary nosa, gardła, krtani, płuc, ucha środkowego, pęcherza i t. d. Leczenie zaś tych chorób wymaga przedewszystkiem ciepła, wygrzania ciała i zabiegów cieplnych, czyto elektrycznych, czy wodnych. Choroby powstałe na tle zaziębień nie wybuchają nagle, lecz organizm wyziębiany systematycznie dłuższy lub krótszy czas, traci odporność i staje się podatniejszy do przyjmowania zarazków chorobotwórczych.

Jasno więc z tego wynika, że musimy starać się o zapewnienie ciału odporności, zahartować je odpowiednio, to znaczy dostarczać mu tyle ciepła, ile niezbędnie potrzebuje.

Dotychczas mówiono (i grzeszono) wiele wyłącznie o hartowaniu ciała zimną wodą, zimnem powietrzem. Teraz musimy wziąć pod rozwagę również hartowanie, t. j. uodpornianie organizmu przy pomocy ciepła, gdyż w praktyce przekonaliśmy się, że dopiero oba rodzaje hartowania uzupełniają się harmonijnie.

Zwolennik tej metody, dr Wilhelm Winsch, który zbawienne jej działanie wypróbował nietylko na swoich pacjentach, ale na sobie samym, twierdzi, że najlepiej jest hartować się w zimie zimnem powietrzem i gorącą wodą, a w lecie ciepłem powietrzem i zimną wodą. W zimie radzi brać 2 — 3 razy w tygodniu kąpiel nasiadową lub półkąpiel, tak gorącą jak tylko wytrzymać można (38 — 48° C). Ponieważ taką ciepłotę trudno znieść od pierwszej chwili zanurzenia się, należy więc stopniowo dolewać gorącą wodę. Idzie tu o wywołanie silnych potów, które przyśpieszy w kąpieli nasiadowej owinięcie ciała w prześcieradło, albo w wełniany kocyk, zależnie od ciepłoty powietrza w łazience. W półkąpieli przykrywamy wannę, a nie ciało. Taki gorący zabieg trwa około 20 minut; potem albo zmywamy, czy też tuszujemy, całe ciało zimną wodą, albo ochładzamy wodę kąpielową do takiej temperatury, która nam sprawia przyjemność, i obmywamy nią całe ciało. Gorące częściowe zabiegi wykonywane wieczór sprowadzają w większości przypadków doskonały sen i uspokojenie systemu nerwowego. Jeżeli jednak ktoś wyjątkowo źle je znosi wieczór, niech je stosuje rano. W zimie obowiązuje pozatem 5—10 minutowa kąpiel powietrzna z gimnastyką i nacieranie ciała na sucho dłońmi lub szorstkim ręcznikiem.

W lecie najlepszą metodą hartującą są kąpiele słoneczne, uzupełnione zimnemi, albo wogóle jakiemiś zimnemi zabiegami.

Ale i w lecie podczas chłodnych dni chętnie uciekać się będziemy do tych częściowych gorących zabiegów. Z naciskiem zaznaczam „częściowych", gdyż pełne gorące kąpiele nie odpowiadają wielu ludziom, będąc zbyt silnym dla nich bodźcem. Myślą przewodnią kultury ciepła jest dostarczenie go organizmowi wedle indywidualnych potrzeb, ale unikanie przesady.

Nie można każdego człowieka zachęcać bezwzględnie do energicznych zabiegów; zdrowym wyjdzie to pewnie na dobre, ale wątłe jednostki muszą być bardzo ostrożnie traktowane. Tym ostatnim wystarczy często chłodne lub ciepłe, częściowe albo całkowite zmycie ciała bez obcierania, z następowem wygrzaniem się w łóżku, przyczem dobrze robi flaszka z gorącą wodą w nogach. — A więc nie zimne i gorące, ale chłodne i ciepłe. Ciepłe kąpiele nasiadowe lub pełne (35 — 36° C) przeznaczone są dla nieco silniejszych jednostek. A w późniejszym wieku pełne ciepłe kąpiele są poprostu źródłem młodości, w którem zużyte ciało odświeża się i odnawia. Dobrze jest stosować je codzień lub przynajmniej co drugi dzień przez przeciąg pół godziny, a potem zawsze odpoczywać leżąc.

Szkodliwe działanie przesadnie stosowanych gorących zabiegów możemy łatwo rozpoznać po następujących objawach: niepokój, ból lub zawroty głowy, bicie serca, zły sen. Należy wtedy przerwać je na kilka do kilkunastu dni. Wprawdzie po każdym gorętszym zabiegu wzmaga się czynność serca i u zdrowych ludzi, jest to jednak bez znaczenia, o ile wraca szybko do normalnego stanu. Także po zabiegach wywołujących silniejsze poty zdarza się skłonność do lekkich zawrotów głowy lub omdleń; ustępują one jednak zaraz po zabiegu ochładzającym.

Zrozumienie dla znaczenia kultury ciepła i odpoczynku w pozycji leżącej przyczyni się do polepszenia stanu zdrowia wielu ludzi, którzy przez nadużywanie ćwiczeń fizycznych i przez kult zimna nadwerężyli organizm.

Na cudowne właściwości ciepła i odpoczynku należy jeszcze i dlatego zwrócić szczególną uwagę, że w codziennem życiu mamy i tak poddostatkiem zimna i wysiłków fizycznych. Zamiast więc „hartować się" niepotrzebnie i popadać w przesadę w tym kierunku, lepiej będzie wyrównać ów szkodliwy nadmiar ciepłem i racjonalnem odpoczywaniem.

EFEB

PLOTECZKI O MODZIE

Na czem polega zmiana sylwetki?

Poszerzone ramiona, obciśnięta talja, szersze spódniczki — a może nadewszystko: *modele kapeluszy!*

Zadziwiająca pomysłowość — w kształtach i rodzajach kołnierzy i rękawów.

Śmiałe — a mimo to bardzo wdzięczne połączenia kolorów, materjałów i gatunków futer.

Fasony sukien — robią często wrażenie płaszczy, albo kostjumów.

Kimonowy krój rękawów — przy sukniach i bluzkach, poszerzający znacznie ramiona, źle się kombinuje z wąskiemi rękawami okryć. Trzeba więc dobrze wprzód się zastanowić, zanim sobie na kimono pozwolimy, czy się to godzi z naszemi okryciami. Jakże bowiem brzydko wygląda kimonowy rękaw wciśnięty w wąską pachę rękawa okrycia, gdy je zdejmiemy.

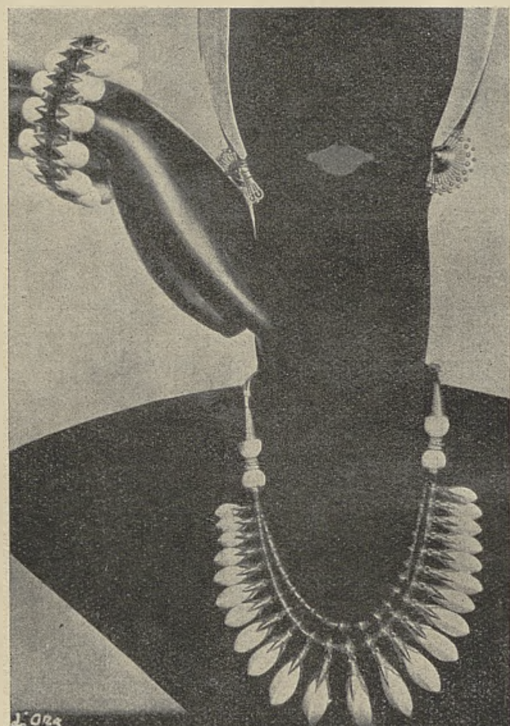


Inna odmiana rękawów — nakazuje obcisłe wgórze, od łokcia wdół znacznie rozszerzone i w przegubie ciasno ujęte. Nierzadko widzi się połączenia dwóch kolorów, dwóch materjałów, np. wełny z jedwabiem, jedwabiu z koronką. Zdaniem krawców, wszystkie te fantazyjne rękawy mają na celu uwydatnienie i podkreślenie smukłości talji.

Draperje — zajmują poważne miejsce w przybraniu modeli. Ślicznie wyglądają miękko udrapowane przody sukien, t. j. staników i bluzek, przodzików w odmiennym kolorze, żaboty; falujące dekoltaże wieczorowych sukien i draperje w okolicy bioder, wtyle wyżej zebrane w obfite fałdy i wolancikami naszyte. Sute nagromadzenie materjału w tem miejscu przypomina okres tiurniur, poduszeczek z włosienia i t. p. środków pomocniczych, służących do wypuklenia linji trochę poniżej pasa wtyle. Obecnie niema o tem mowy — narazie.

Skórka lakierowa — służy do przybrań wełnianych sukien. Kołnierze, mankiety, paski w kolorach: białym, czarnym, czerwonym, bronzowym. Przy wycięciach sukien kimonowych ślicznem wykończeniem jest kokardka ze skórki lakierowej.

Suknie na cały dzień a raczej kostjumy — coś w rodzaju uniwersalnych fasonów — mają w obecnych czasach duże powodzenie. Brak pieniędzy, chęć oszczędzania, brak czasu na przebieranie się w ciągu pracowitego dnia — oto czynniki, które nam wyczarowały ów praktyczny model. Składa się ze spódniczki i krótkiego żakieta, przybranego ekonomicznie płaskiem futerkiem, naszytem po brzegach wąskiemi pasmami, a czasem krótką pelerynką. Żakiet watowany, ze względu na zimno. Spódniczka i żakiet muszą mieć doskonały krój i piękne wykończenie, a całość powinna zalecać się wyjątkową prostotą. Materjał wełniany; szorstki, gruby diagonal najczęściej czarny lub bronzowy. Kostjum ten uzupełnia jasna bluzka z krepy jedwabnej, najczęściej lśniącej, a wykonana tak, by można ukazać się w niej na wizycie, na herbatce, lub w teatrze. To znaczy, model nie może być sportowy, lecz nieco fantazyjniejszy. Wycięcie bluzki pomysłowo i rozmaicie drapowane, w każdym razie tak, by zatracić surowy wygląd bluzki i nadać jej interesującą nutę. Drugą kombinacją jest płaszcz i suknia. Płaszcz powinien być bogato futrem przybrany, o ile idzie o zachowanie dzisiejszego stylu Suknia jest wykonana w dwóch kolorach, a zawsze górna część bywa jaśniejsza, najczęściej biała, perłowa, bladocytrynowa lub blado-różowa. Rękawy w dwóch kolorach niezawsze ładnie wyglądają. Jasne góry sukien są charakterystyczne dla sezonu jesienno-zimowego, ale zależy to od rodzaju w jaki obie barwy łączymy, t. j. od zakrojenia wełny w miejscu połączenia z jedwabiem. Najczęściej spotykamy krój „gorsecikowy" w okolicy pasa, czyli wełna zachodzi wysoko zprzodu, natomiast plecy całe jedwabne. Gorsecikowy krój widzimy i w paskach, które są zprzodu wyższe i śpiczaste, a szpic podtrzymany rogiem. Wraca więc *jupe corselet*, ongi zarzucona, brzydka, niewygodna, a już zupełnie nie nadająca się jako typ sukni do pracy. Będziemy ją bojkotowały na korzyść innych celowych modeli. Pod płaszcz nosimy równie dobrze wełniane suknie, jak jedwabne, ale jeśli model ma służyć do codziennego użytku, jedwab nie powinien być z gatunku strojnych, lecz z krep tęgich, matowych, rzucających miękkie fałdy. Oba opisane tu typy sukien na codzień są odpowiednie o każdej porze i w każdem miejscu, nie opatrzą się ani na ulicy, ani w mieszkaniu, a przytem zapewniają nam markę dobrze ubranej.



Wełniany jersey — miękki, ślicznie przylegający i niezwykle wdzięczny materjał, który porzuciłyśmy uniesione szałem tweedowym, wrócił w pełnej glorji zasłużonego powodzenia. Teraz gdzie spojrzymy — suknie z wełnianego jerseyu gładkiego albo w deseń, często w różnokolorowe paski. Jersey tkany jest w rozmaitych odmianach (wełniany, jedwab, welwet), a każda z nich ma jakąś egzotyczną nazwę, przyjętym obecnie zwyczajem. Uroczy i praktyczny ten materjał ma tylko jedną wadę: nie nadaje się dla tęższych pań, gdyż zbyt dokładnie przylega i modeluje kształty.

Szorstka, cienka, lekko porowata wełna — jest nowością sezonu na suknie codzienne. Wyrabiana w pięknych żywych i ciemnych kolorach wnosi duże urozmaicenie w gamę barw praktycznych toalet, mających swój odrębny styl. Wybierać możemy w bogatej skali odcieni bronzowych, czerwonych, zielonych, niebieskich, lila, fiołkowych; prześliczna jest wełna pomarańczowa. Oprócz wspomnianych wyżej przybrań z lakierowej skórki, stosowanych przy codziennych sukniach, wymienić należy jako ostatnią — nieco ekscentryczną — nowość:

Kołnierze celuloidowe — w mdłych, cukierkowych odcieniach.

O modzie kokard — już pisałam, ale dziś zaznaczyć mi wypada, że to już nietylko moda, lecz istne opętanie. Gdzie rzucić okiem — kokarda! Z najnieprawdopodobniejszych materjałów, w najmniej oczekiwanem miejscu. Czyż dawniej pomyślałby kto np. o kokardzie z futra? Obecnie widujemy je często na szyjach. A wogóle szykowne, niby odniechcenia związane, kokardy upodobały sobie specjalnie szyję; mamy je też przy kostjumach, płaszczach, sukniach, bluzkach, przy sukniach domowych, przy trykotażach. Sztukę związania kokardy nie wszystkie ręce posiadają, a wdzięk jej i szyk właśnie od tej umiejętności zależy. Ponieważ nasze toalety długo już były pozbawione tej ozdoby, więc oczywiście rzucą się teraz do niej panie z całym zapałem, należnym rzeczom dawno niewidzianym. Radzę jednak być ostrożną, bo rzadko który szczegół przybrania może narówni mile ozdobić lub też zepsuć całość.

Do sukien codziennych — a specjalnie do jerseyowych, noszone są krótkie żakiety z płaskich futer w deseń, złożone czasem z dwóch gatunków. Np. żakiet z tygrysiej skórki, obcisły do pasa, z baskinką nieznacznie skloszowaną i krótszą zprzodu — kołnierz i rękawy z odmiennego fantazyjnego futra. Szeroki pasek zamszowy.

Lamparcia skórka — jest bardzo w użyciu, nietylko na płaszcze, żakiety, bolera, kamizelki, ale również do przybrania sukien i rękawiczek. Pięknie wyglądał model z czarnego jerseyu, przybrany paskiem i kokardką u wycięcia z lamparciej skóry — albo model z jerseyu w odcieniu kakao, szeroki marszczony pasek zapięty zprzodu na guziki i kokarda na szyi z lakierowanej rubinowej wstążki, do tego żakiet z lamparta, bramowany perskim barankiem.

Płaskie futra — zdobią dużo modeli wełnianych lub aksamitnych. Np. suknia z czarnego sukienka, przybrana wąskiem pasemkiem z perskich baranków — suknia z jerseyu zielonawo-szarego, szeroki pasek i krawat z breitschwantza — suknia z bronzowego aksamitu, malutkie obcisłe bolerko kończące się tuż pod piersiami, zapięte na guzik a wykonane z astrachanów strzyżonych.

Biżuterja murzyńska — wnosi odmianę w znane dotychczas formy i łączenia kruszców oraz materjału zdobniczego. Prześlicznej roboty był garnitur, który podajemy, złożony z naszyjnika, kolczyków i bransolety, wykonany w złocie, w połączeniu z kością słoniową i z koralami.

Szerokie bransolety — pięknie wypracowane w platynie, złocie, emalji, wysadzane kamieniami. Brzegi tych bransolet niezawsze są równe; czasem kapryśnie pozacinane w zęby, w owale.

Sportowa krótka dewizka — spełnia rolę broszki przy sportowej bluzce. Na początku i na końcu łańcuszka kamienie w odmiennym kolorze, np. jasny topaz i ametyst — blady, prawie biały turkus i ciemno-niebieski.

Biały kryształ górski — jest wielostronnie wyzyskany w jubilerstwie. Powstają z niego urocze a niedrogie cacka, dostępne nietylko tym, które się z groszem nie liczą.

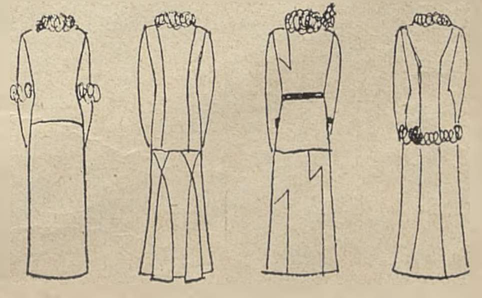
CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

KOSTJUMY Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



152 Kostjum z bronzowego diagonalu, przybrany astrachanem beige. Dwa pasemka futra na rękawach, zarękaweczek w kształcie koperty i szerokie wyłogi nadają kostjumowi nowoczesną nutę.
153 Kostjum z zielonego sukna, przybrany czarnemi karakułami. Pięknie pozacinana spódniczka i biała bluzka.
154 Kostjum kombinowany; spódniczka z czarnej szorstkiej wełny, żakiet z materjału peaux d'ange w kolorze sarnim. Szalik i przybranie kieszeni z czarnego baranka.
155 Kostjum z fiołkowej welutyny z popielatym barankiem.



PŁASZCZE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

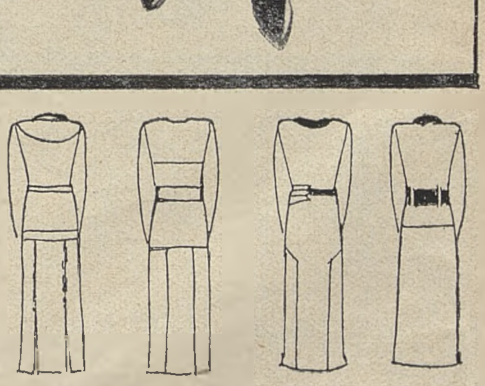




156 Płaszcz z szorstkiej wełny w grube prążki, ozdobiony ciekawemi zacięciami. Pasek lakierkowy, kołnierz i przybranie rękawów z nurków.
157 Płaszcz z czarnego wełnianego aksamitu; kołnierz z wyłogami, mankiety i zarękawek z oposów.
158 Płaszcz z ciemno-popielatej miękkiej wełny, futerko czarne. Na szwach stebny, pasek skórkowy.
159 Płaszcz z czarnego trykotowego materjału, przybrany jasnym lisem. Zacinania wystebnowane; zapięcie na drobne guziki, przerywane.

SUKNIE NA CODZIEŃ Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH





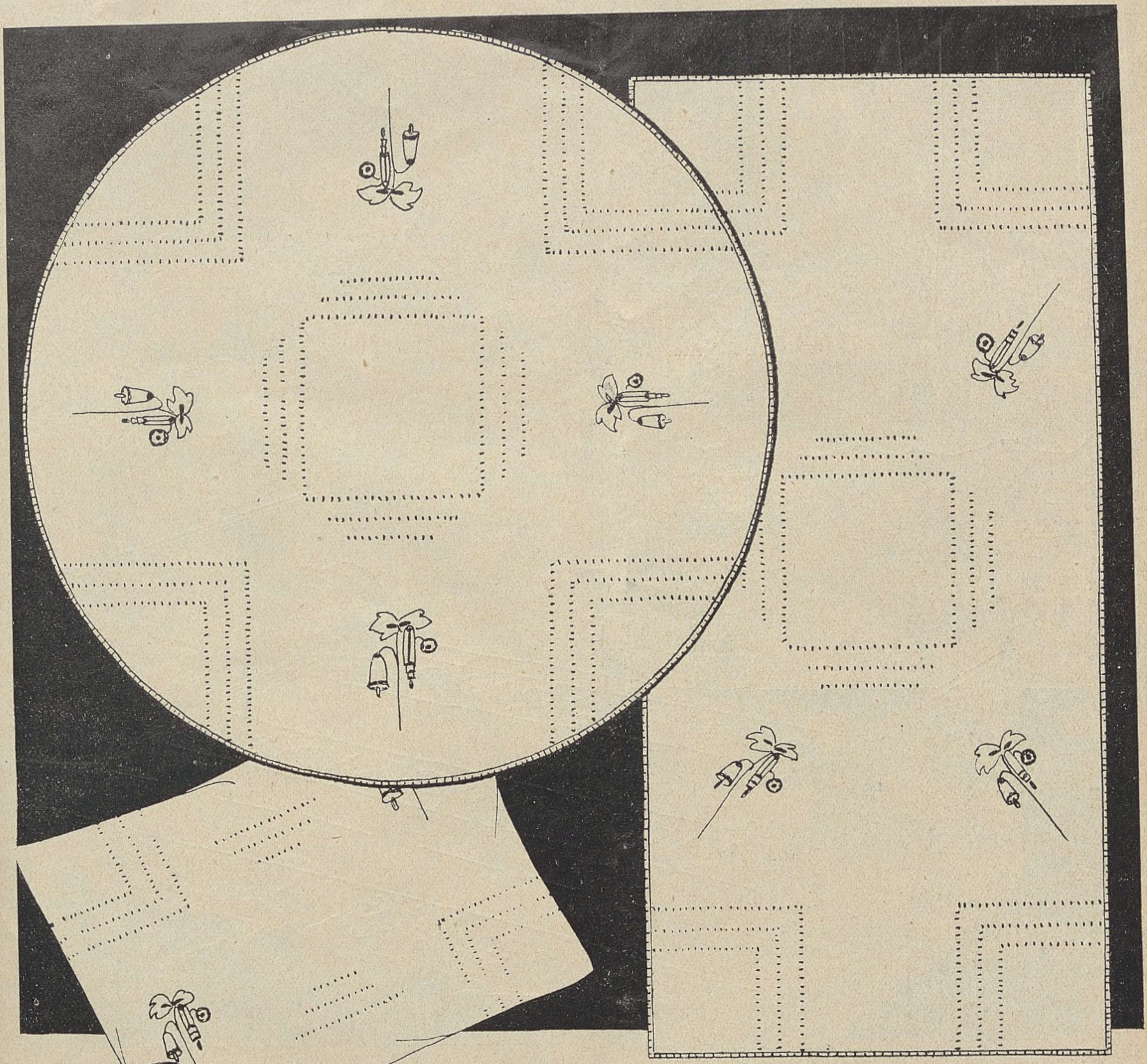
160 Suknia z wiśniowej flamengi, przybrana czarnym kolorem i stebnami. Kołnierzyk i mankieciki białe pikowe.
161 Suknia z szafirowego trykotu, naszyta ciemno=granatowym sznureczkiem jedwabnym. Szeroki pas skórkowy, wypustka u szyi i stebny również ciemno=granatowe. Naszycie ciemnym sznureczkiem w okolicy pasa i bioder bardzo wysmukla.
162 Suknia z kamgarnu w kolorze bronzowym, przybranie i guziki ciemno=brunatne.
163 Suknia ciemno=popielata z cienkiej wełny lub z wełnianego aksamitu; kołnierzyk, pasek, mankiety i guziki czerwone.

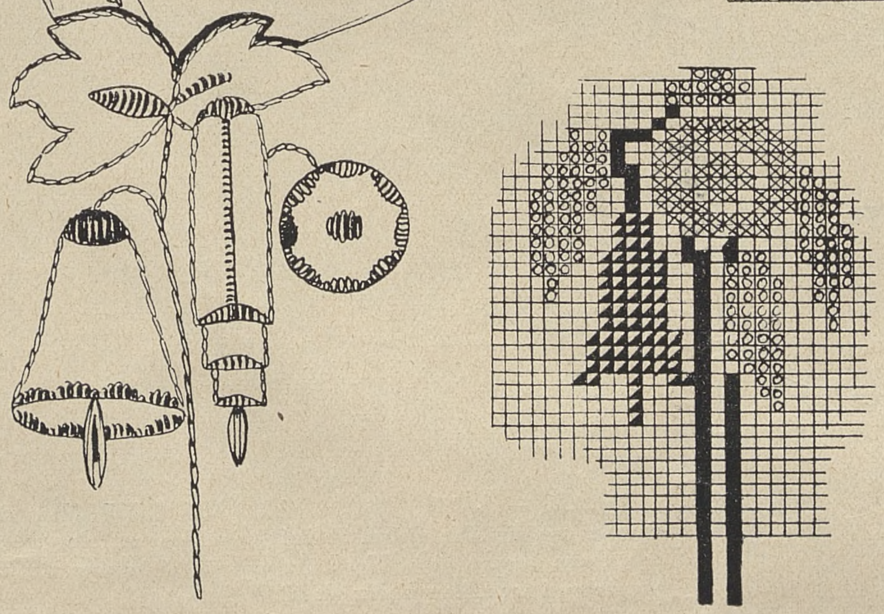
KOSTJUMY SPORTOWE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW



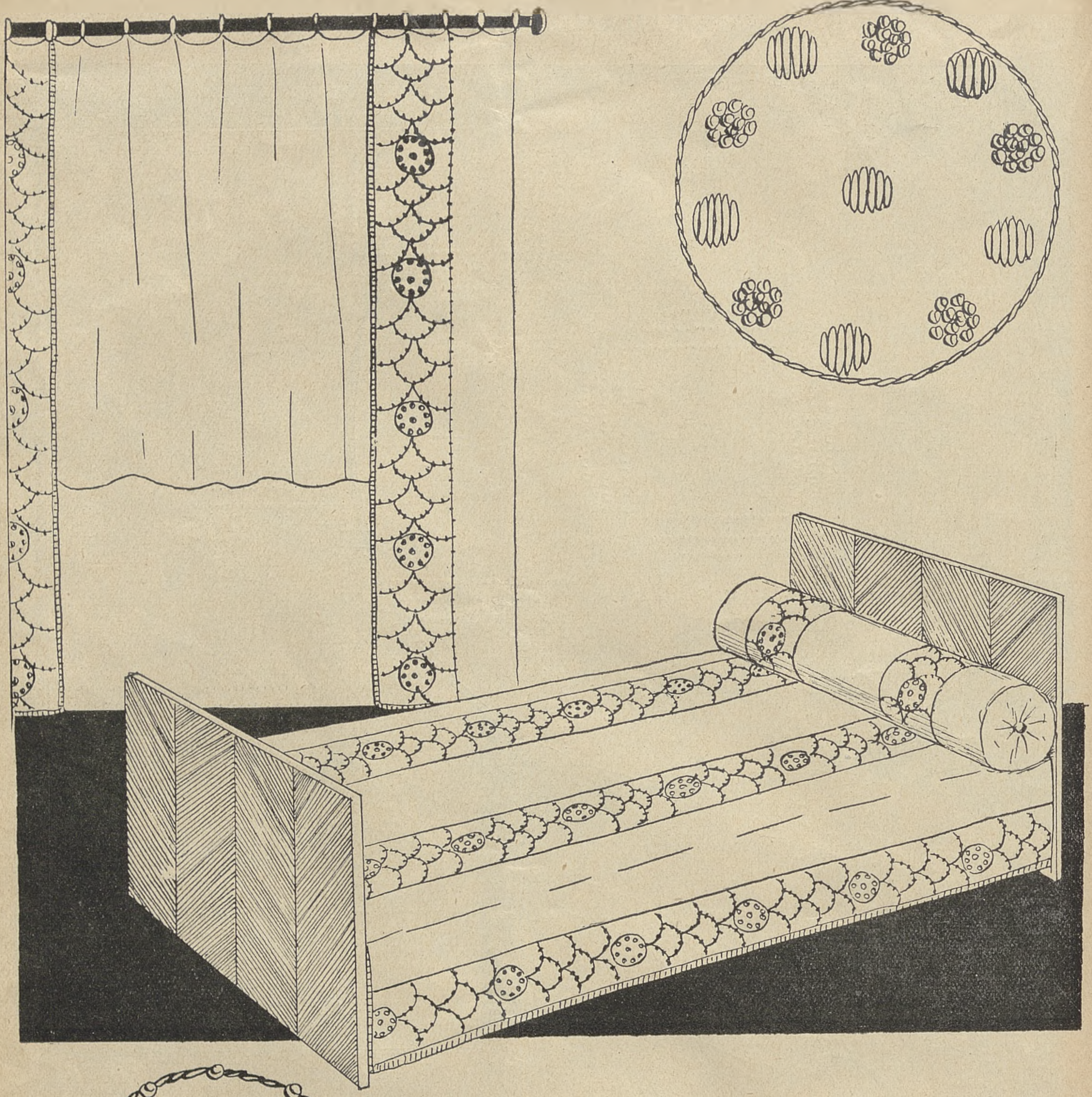


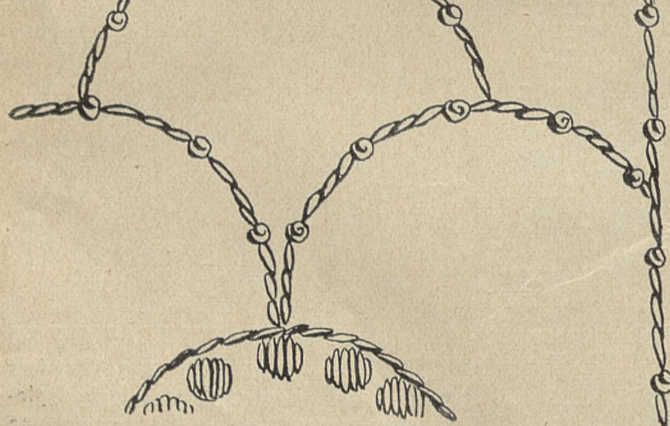
164 Kostjum narciarski z grubej gabardyny granatowej, impregno- wanej. Spodnie zapinane na biodrach na zameczek „éclair". Obcisły staniczek do pasa, z dwurzędowem zapięciem i sze- rokiemi wyłogami. Barwny trykotowy szal i beret.
165 Kostjum do ślizgawki z zielonego wełnianego aksamitu, przy- brany fantazyjnem futerkiem.
166 Kostjum narciarski z lodenu. Żakiet z szerokim paskiem, za- pięty zprzodu na guziki. Beret i szal trykotowy w żywych ko- lorach.
167 Kostjum narciarski. Bluzka z zapięciem „éclair". Pullover ko- lorowy wywinięty u szyi, rękawów i w pasie.





Ryc. 56. — DWA MOTYWY BARWNEGO HAFTU, rozmaicie zastosowane. Zamiast mereżki można linje wykonać ściegiem płaskim, albo sznureczkowym. Barwy żywe na tle szarem, blado-zielonem, niebieskiem, różowem, albo żółtem.

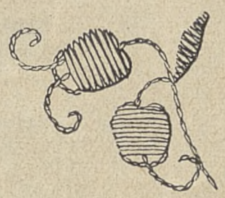


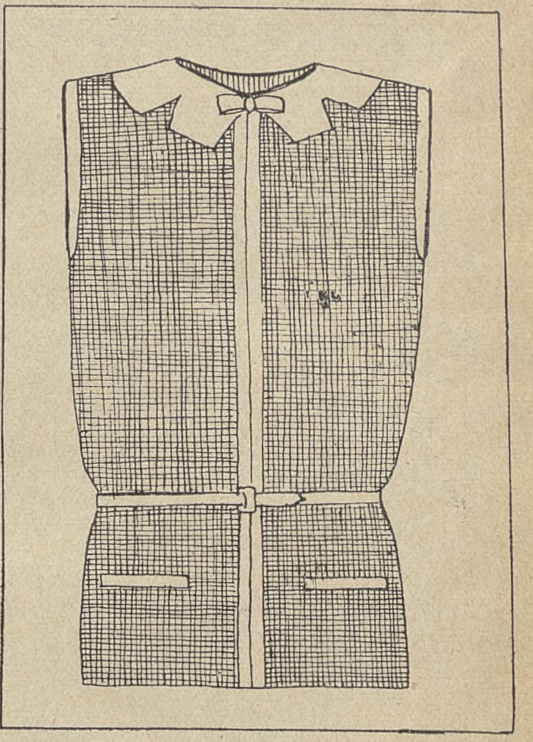


Ryc. 57. — ŁATWY WZÓR NA KAPĘ I FIRANKĘ do nowoczesnej sypialni. Na białem tle haft kolorowy, na kolorowem pięknie występuje czarny haft. Wąskie lamowanie w kolorze haftu. Ściegi: pocztowy i węzełkowy oraz płaski.

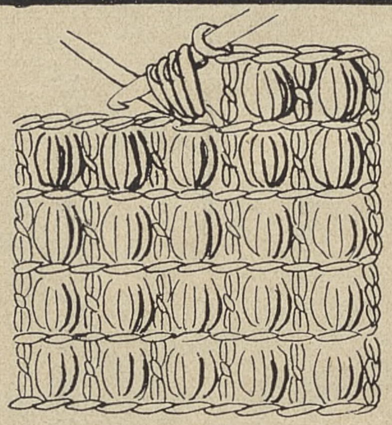
KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO











91



91 a

Przyrzekliśmy, że co pewien czas podamy nowości z dziedziny trykotaży robionych na drutach. Informujemy więc nasze wierne Czytelniczki, że bardzo modny jest gładki trykot, haftowany w drobne kwiatuszki, cienkim jedwabiem, ściegiem płaskim, wodnym, pocztowym, albo łańcuszkiem. Dalsze wykończenie, t. j. kołnierzyk, względnie szalik, mankiety, pasek — o ile jest to dżemper — czasem brzegi, wykonane w tym samym kolorze, co kwiatuszki.

Można tym sposobem odświeżyć stary gładki dżemper, albo przerobiony ze spódniczki garsonki, albo też uszyty z gładkiego trykotu kupionego na miarę. Pewnie wiadomo Czytelniczkom, że bardzo modne są trykotowe bluzki wpuszczane do spódniczki. — Dolny brzeg takiej bluzki jest wykonany ściegiem patentowym, żeby nie dodawał tuszy.

Dobór kolorów zależy od smaku. Pięknie wyglądają na bronzowem tle żółte kwiatuszki z zielonemi listkami, do tego żółte mankiety i takiż kołnierzyk. Na popielatem tle czerwone kwiatki z czarnemi listkami, na granatowem — cytrynowe, na białem — wszystkie barwy. Na zielonem pięknie wychodzą ceglaste, na beige — szafirowe albo pomarańczowe.

Kamizelki bez rękawów są zawsze modne i praktyczne. Podajemy bardzo łatwy model, cały wykonany ścisłemi oczkami. Brzegi wykończone takiemiż oczkami w odmiennym kolorze, do którego również dobrany pasek i kołnierzyk, oraz kokardka. Kołnierzyk może być również szydełkowany, ale pięknie wygląda także jedwabny. Kieszonki wrobione sposobem, którego uczyliśmy w dawniejszych częściach kursu.

Ciepły kaftaniczek i czapeczka dla małych dzieci, wykonane ściegiem, który daje gęstą, grubą tkaninę. Jest to kombinacja zwykłych słupków z nawijanemi. Szydełkuje się podług formy z papieru, zaczynając łańcuszkiem odpowiadającym szerokości kroju. Pierwszy rząd: 3 oczka w powietrzu, 1 słupek czterokrotnie nawijany do czwartego od końca oczka łańcuszka. Do następnego oczka 1 słupek zwyczajny, raz nawijany, tak dalej do końca. Przy odwróceniu 1 oczko w powietrzu, następnie rząd oczek łańcuszkowych nad wszystkiemi słupkami poprzedniego rzędu. Oczka łańcuszkowe robi się jak ścisłe, z tą różnicą, że po wkłuciu przewleka się nitkę odrazu przez oczka na szydełku (ryc. 91 a). Następny rząd jak pierwszy, przyczem wkłuwa się słupki w oczka łańcuszkowe poprzedniego rzędu.

Wykonania słupków nawijanych uczyliśmy dawniej. Przypominamy, że wykonywa się je w następujący sposób: nawinąć nitkę raz na szydełko, wkłuć do oczka poprzedniego rzędu, przewlec nitkę, nawinąć znowu, wkłuć, przewlec i tak powtarzać, przyczem nabiera się nitkę na szydełku, a wkońcu odrabia jednem przewleczeniem (ryc. 91). Przy oczku czterokrotnie nawijanem mamy 8 nitek na szydełku, nie licząc oczka z poprzedniego słupka (rycina 91).

Z. KULCZYCKA



Wielokrotnie podawaliśmy już w „Kąciku praktycznym", a także w „Almanachu", sposoby szycia futra i wykończania garniturów. Obecnie więc ograniczamy się do pokazania, w jaki sposób można uszyć zarękawki, które powróciły do mody po kilkunastoletniej banicji.

Nieco mniejsze od modnych podczas wojny, lecz kształtami podobne, mogą być okrągłe, albo przypominać torebki. Mogą wraz z krawatem tworzyć garnitur stosowny do wszystkiego.

Krawaty mają długość 130—160 cm, w środku wystarcza szerokość 9 — 10 cm, ku końcom rozszerzają się nieco. Ponieważ wiązanie jest dość niewygodne i nadweręża futro, można przewlekać końce przez klamrę z galalitu (ryc. 2). Na tym modelu bardzo oryginalna jest wąziutka inkrustacja z białego futerka. Rzecz jasna, że równie dobrze można wstawić paseczki ciemnego futerka do jasnego tła.

Urocza kokarda z aksamitu, przybrana na końcach kawałkami futra, do tego stosowny zarękawek — oto garnitur, o którym marzą młode panienki. Można go uzupełnić stosowną czapeczką.

Podajemy szkice krojów na zarękawki. Do zarękawków na rycinie 1 i 2 używamy wataliny, do okrągłego zarękawka stosowniejszy jest puch. W tym celu musimy uszyć wsyp podług podanego kroju; wszytek nie rozcinamy. Na wsyp wchodzi wierzch z aksamitu, w którym również wykonamy wszytki, które powinno się rozciąć. Podszewka z śliskiego jedwabiu, również z wszytkami, przyszyta z główką — (ryc. 3 c) — albo gładko, może być uzupełniona wąskim paskiem — (10 cm) — z jedwabiu, ściągniętym na gumce (ryc. 4).

Zarękawek kieszonkowy (ryc. 2) ma ściągnięte brzegi przy pomocy króciutkich wszytek (ryc. 2 a), które oczywiście należy wyciąć. Pozatem można go wykończyć jak poprzedni.

Wykończenie zarękawka na ryc. 1 jest podobne, tylko że tu nie trzeba ściągać brzegów wszytkami, a tylko lekko naddać przy przyszywaniu podszewki.

Przypominamy, że najłatwiej szyć baranki, trudniej zaś futerka, których włos układa się w jednym kierunku. Po zeszyciu kawałków należy zwilżyć lewą stronę i przypiąć futerko włosem nadół do deski, wyciągając je l e k k o; zbyt silne wyciąganie osłabia futro i powoduje wypadanie włosków. Suszyć zdala od pieca.

Z. KULCZYCKA

RACHUNKOWOŚĆ W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

I. DZIENNIK KONTOWY*

Oddawna już wiele osób zrozumiało, że dla kontroli racjonalności gospodarstwa domowego niezbędne jest prowadzenie dokładnej rachunkowości.

Taki jasny obraz gospodarki domowej może dać tylko książka kontowa. Gospodarstwo domowe rozpada się na kilka zasadniczych działów i każdy dział musi być należycie w książce przedstawiony. W ostatnich latach wyszło kilka typów takich książek kontowych, wszystkie one jednak mają jeden zasadniczy błąd. Jest to ograniczenie każdego miesiąca na jednej jedynej stronicy, a każdego dnia na jednej, jedynej linijce.

Otóż z punktu widzenia przejrzystości rachunków, ze względu na korzyści, jakie prowadzenie ich ma dać gospodarstwu domowemu, jest to zupełnie niepraktyczne i tak prowadzony dziennik uważam za bezcelowy. Każdy wydatek musi być indywidualnie zapisany, i na każdy miesiąc musimy mieć nieograniczoną ilość miejsca, żeby faktycznie wszystkie zaspokajane potrzeby całej rodziny mogły być przejrzyste i odrazu rzucały się w oczy. Ale jeżeli wszystkie wydatki dnia stłoczymy na jednej linijce, — to w krateczkach poszczególnych kont wyjdą tylko nic nie mówiące cyfry. I ani tu o skontrolowaniu indywidualnych wydatków, ani o sprawdzeniu cen towarów, ani o porównywaniu tychże w poszczególnych okresach — mowy być nie może!

Podstawą podziału na rubryki w moim dzienniku kontowym było takie ich ugrupowanie logiczne, aby wprowadzając możliwie najmniejszą ilość kont, dać jak najwierniejszy obraz gospodarki. Uzyskano to przez zagwarantowanie wszystkim typom wydatków odpowiednich rubryk, pozostawiając na „Różne" tylko zupełnie drobne, mało znaczące, nieprzewidziane sumy. Do rubryki „Mieszkanie" należą więc oprócz komornego, wydatki na opał, światło, telefon i t. p. Do „Inwentarza" — naprawa i uzupełnienie sprzętów, narzędzi, bielizny pościelowej i stołowej i t. p. „Odżywianie" dzielę na grupy, biorąc za punkt wyjścia wartości odżywcze pokarmów, a więc białko, tłuszcz i węglowodany, oraz zawartość witamin i t. d.

Kwity, które otrzymuję przy poważniejszych zakupach, numeruję czerwonym atramentem (lub ołówkiem) w chwili wciągania do dziennika, odnotowując równocześnie tę samą l. p. przy odpowiedniej pozycji w dzienniku. Wtedy dopiero chowam kwity do skoroszytu, gdzie odpowiednio posegregowane, spoczywają rok cały. Po zamknięciu roku przenoszę je w osobnej kopercie do archiwum domowego.

Jeżeli już mowa o sposobie wpisywania wydatków, nie mogę nie podkreślić, jak bardzo praktyczne jest odnotowywanie bezpośrednio wydatków w bloczku, który nosi się przy sobie, i zakładanie tych kartek, jak i kartek, na których pomocnica domowa notuje czynione zakupy, na szpikulec. Bardzo jednak ważne jest, aby wpisywanie z tych kartek do dziennika kontowego odbywało się regularnie i nie za rzadko. Osobiście czynię to trzy razy w tygodniu, bezpośrednio po rozrachunku z pomocnicą. Jeżeli wskutek zbyt długich odstępów, stosowanych przy wpisywaniu wydatków, zbierze się ich za wiele, może nam zabraknąć przeznaczonego na tę czynność czasu, i co ważniejsze, może zaciężyć, poprostu znudzić. Jest to moment psychologiczny bardzo ważny i nie należy go lekceważyć. Nie każdy bowiem odnosi się z równem zamiłowaniem do buchalterji i okoliczność powyższa może grozić czemś najgorszem — bo zaprzestaniem prowadzenia wogóle książki. Nic temu tak nie sprzyja, jak powstające zaległości; dlatego trzeba z miejsca tak sobie pracę zorganizować, aby stały się one niemożliwe.

Pewną ilość czasu raz w tygodniu trzeba poświęcić również na podsumowywanie i przenoszenie stronic. — Nie chodzi tu tylko o mechaniczne podsumowywanie, ale o rzecz głębszej wagi. Mianowicie należy w tym czasie skontrolować i porównać dziennik z preliminarzem. Stale musi się bowiem mieć oczy zwrócone na preliminarz. Jeżeli idzie o większe wydatki, trzeba doń zaglądać sporadycznie; jeżeli idzie o wydatki na żywność i inne drobne, trzeba co najmniej raz w tygodniu je porównywać i ewentualnie, gdy zapowiadają się jakieś przekroczenia, mieć możność skorygowania w nadchodzącym okresie. Tu właśnie leży cały sens rachunkowości kontowej, tu jej realna korzyść i możliwość uzyskania przez nią faktycznej równowagi budżetu domowego.

Tak więc dochodzimy do tego, że sama książka rachunkowa bez preliminarza małe ma jeszcze znaczenie. Dopiero w oparciu o preliminarz i w uzupełnieniu jednego drugiem daje podstawy racjonalnej gospodarki domowej.

II. PRELIMINARZ

Preliminarz musi obejmować bezwzględnie cały rok, a w stosunku do dużych wydatków inwentarzowych i ubraniowych — nawet kilka lat. W tym przypadku obejmuje on tylko pewien wycinek budżetu, np. „Ubrania".

Sporządzając szczegółowy preliminarz na rok, należy preliminować równocześnie poszczególne miesiące. Musi on obejmować wszystkie te pozycje, na które mamy konta w dzienniku, jednakowoż inaczej uszeregowane i inaczej rozbite. I tak „Inwentarz", na który przeznaczamy w dzienniku tylko jedną pozycję, rozbija się w preliminarzu na poszczególne wydatki, które będą wykonywane w różnych miesiącach. Tak samo postępuje się z wydatkami ubraniowemi, wyjazdami, kulturalnemi i t. p. Pozycje te można wstawić jednak dopiero po zorjentowaniu się jakiemi sumami dysponować się będzie w każdym miesiącu, po preliminowaniu wydatków stałych na mieszkanie, opał, światło, życie i t. p. Naturalnie, że i te wydatki będą zależały przedewszystkiem od dochodu, względnie od sum, jakiemi dysponuje gospodarstwo domowe.

Podstawą do układania preliminarza będzie ustalony teoretycznie procentowy rozdział wydatków w stosunku do dochodów — w porównaniu z zestawieniami kasowemi z lat poprzednich, a jeżeli ktoś tego nie posiada, to przynajmniej z wyciągami z poszczególnych bodaj nawet notatek kasowych. Najpraktyczniej będzie poprowadzić przez jakiś czas dziennik kontowy, na podstawie zestawień tego dziennika sporządzać sobie przez parę miesięcy — i kontrolować — preliminarze miesięczne, a potem dopiero na podstawie zdobytego doświadczenia przejść na sporządzanie preliminarzy rocznych. Jest to droga nieco wolniejsza ale łatwiejsza i dająca lepsze przygotowanie do tej bądź co bądź dość żmudnej, ale jakże owocnej pracy.

Przy zestawianiu preliminarza w mojej „Książce rachunków domowych" wprowadziłam tak na każdy miesiąc jak i na rok, obok rubryki „Preliminowano", rubrykę „Wykonano" w celu łatwiejszego porównywania dokonywanych wydatków z preliminarzem. Sumy preliminowane wpisuję atramentem kolorowym, wykonane czarnym.

Tak sporządzony preliminarz jest bardzo prosty, a bardzo dokładny i przez tę swoją dokładność dający rękojmię, że nie będzie przekraczany, a to przecież jest najważniejszym celem tak preliminarza, jak i całej rachunkowości domowej. MARJA BONKOWICZ SITTAUEROWA

* „Książka rachunków domowych", Marja Bonkowicz Sittauerowa; cena zł 5,—. Książkę tę otrzymać można w lwowskim Oddziale „Związku Pań Domu", albo za nadesłaniem zł 5,— pod adresem M. B. Sittauerowa, Łuck, Starostwo.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

HIGJENA ŁYŻKI DO GOTOWANIA. — Tytuł nieco dziwny, ale — jak się Panie przekonają — słuszny. Do gotowania używamy zazwyczaj drewnianych łyżek. Mieszamy niemi potrawy. Drzewo jednakowoż wchłania wodę, a z nią rozpuszczone cząstki potraw. Gorzej jeszcze, jeśli służąca miesza drewnianą łyżką tłuszcz, albo tłuste potrawy. Łyżkę przepojoną tłuszczem zmywa potem, obciera i myśli, że jest dostatecznie czysta. Gdy jednak łyżka taka leży przez dłuższy czas, tłuszcz lub inne składniki potraw, które drzewo pochłonęło, psuje się, a gdy łyżkę weźmie się znowu do użytku, potrawy nabierają niemiłej woni i przykrego smaku, a kucharka nie wie, w czem leży przyczyna.

Drewnianemi łyżkami więc nie należy mieszać tłuszczu, albo bardzo tłustych potraw, a także nie powinno się ich pozostawiać we wrzącej potrawie. Co pewien czas należy je wygotować z odrobiną sody.

Używając metalowych łyżek do gotowania, wystrzegamy się ołowianych i pocynkowanych. Łyżki z cyny również nie są odpowiednie. W gorącym tłuszczu cząstki metalu mogą się udzielić potrawie, co jest bardzo szkodliwe dla zdrowia. Odpowiedniejsze są łyżki z alpaki, albo innego aljażu, nie zawierającego ołowiu. Ponieważ wszelkie stopy tego rodzaju zawierają części miedzi, nie można łyżek pozostawiać przez dłuższy czas w potrawach, gdyż tworzy się śniedź, jak tą niejedna gospodyni musiała już doświadczyć.

Możnaby zarzucić, że alpakowe łyżki są stosunkowo drogie. Gdy się jednak zważy ich trwałość, wzgląd ten odpada, tem bardziej, że dla zdrowia nic nie powinno być za drogie.

Kucharki, a nawet panie domu, grzeszą często niedbałością przy używaniu łyżek. Po zamieszaniu potrawy odkładają ją czasem na stół, na którym mógł osiąść pył, który unosi się przy każdym niemal ruchu w kuchni, nawet bardzo czysto utrzymywanej. Inne kucharki znowuż kładą je na pokrywki garnków, które zanieczyszczają się w ten sposób. Jeśli kładą łyżkę na brzeg garnka, resztki potrawy spływają po garnku, albo kapią na płytę, powodując swąd i zanieczyszczenie.

Powinno się więc odkładać łyżki na czysty talerz, przeznaczony na ten cel. W lecie chronimy ten talerz jeszcze kloszem z drutu albo gazy, a kloszów tych powinno być w każdem gospodarstwie kilka.

Zbytecznem chyba jest wspomnieć, że łyżek dziś — podobnie jak innych przyborów do gotowania — nie przechowuje się już na wierzchu, tylko w miejscach osłoniętych przed kurzem, jak szafki wiszące albo wewnętrzna strona drzwi szafarki.

SZNYCLE Z SADZONEMI JAJAMI. — Zemleć 25 dkg wieprzowiny i 25 dkg wołowiny, dodać soli, pieprzu, posiekanej cebuli i 1 jajko. Uformować 4 sznycle okrągłe i dość grube, w każdym wycisnąć dołek. Usmażyć sznycle, nakoniec wybić w każdy dołek po 1 jajku, posypać solą i pieprzem i smażyć, aż jajka zetną się dostatecznie. Podać do jarmużu albo szpinaku (z konserwy).

POTRAWKA Z NEREK CIELĘCYCH. — Dwie nerki cielęce ugotować z trzema marchewkami, małym selerem i parą w wodzie ze solą. Zemleć 15 dkg mięsa, do połowy wieprzowego i wołowego, wymieszać z 1 białkiem, solą, pieprzem, kilku łyżkami śmietanki albo mleka i 2 łyżkami tartej bułki. Formować małe kluseczki i ugotować w rosole z nerek. Przyrządzić zaprażkę z masła i mąki, rozprowadzić rosołem z nerek, zaprawić żółtkiem i włożyć kluseczki wyjęte poprzednio, oraz nerki pokrajane w plasterki. Nakoniec dodać soku cytrynowego do smaku.

ZAPIEKANE BUŁECZKI Z NERKAMI. — Zrumienić nerkę cielęcą, podlać odrobiną wody z solą i dusić. Gdy miękka, posiekać drobno i włożyć zpowrotem do rosołu, dodać namoczoną i wyciśniętą bułkę, tartej cebuli, posiekanej zielonej pietruszki, jajko, soli i pieprzu. Nałożyć tę masę na przekrojone bułeczki zamaczane w mleku, po wierzchu posmarować masłem sardelowem i zapiec w rurze.

RYŻ Z JABŁKAMI I JAJAMI. — Sparzyć 35 dkg ryżu i ugotować w 1 l mleka z 18 dkg cukru i 6 dkg masła. Połowę ryżu nałożyć do formy wysmarowanej masłem, na to nakłaść 75 dkg jabłek pokrajanych w cieniutkie plasterki, posypać cukrem, cynamonem i rodzynkami, na wierzch dać resztę ryżu. Rozkłócić 3 jaja w ½ kwaterce mleka, nalać na ryż i wypiec wszystko w rurze.

SZTUĆCE ZE SREBRA ALBO ALPAKI nabierają pięknego połysku przez płókanie w ciepłej wodzie z amonjakiem — łyżeczka na ½ l wody. Wytrzeć miękkiemi lnianemi ściereczkami.

WILGOTNĄ SÓL osusza się przy pomocy ryżu w woreczku z gazy, który wkłada się do soli. Ryż wchłania wilgoć, a sól wysycha.

RĘCE POWALANE olejną farbą, lakierem, smołą albo terem, łatwo oczyścić oliwą. Zwilżyć nią ręce i trzeć, następnie umyć w ciepłej wodzie mydłem. Plamy znikną, a ręce nie ucierpią.

POŃCZOCHY SZANUJE SIĘ i przedłuża ich trwałość, nosząc jednocześnie dwie pary. Każdą parę nosi się jeden tylko dzień, wieczorem zaś kładzie do letniej wody. Następnego ranka należy wodę wycisnąć i pończochy rozwiesić do suszenia. W ten sposób włókna odzyskują swą prężność i nie drą, ani nie przecierają się tak szybko, stopy zaś są zawsze suche i nie udzielają pończochom potu, gdyż rozluźnione włókna są porowate i pozwalają na dostęp powietrza. Pończochy noszone w ten sposób rzadko tylko trzeba prać mydłem, wskutek czego zachowują długo pierwotną barwę.

Można w ten sposób postępować z pończochami jedwabnemi, jak i z bawełnianemi lub wełnianemi. Wystarczy zanurzać same stopy. Sposób wypróbowany z doskonałym wynikiem przez panie pracujące zawodowo.

TOWAROZNAWSTWO

PRZYPRAWY KORZENNE. Jako przypraw, zaostrzających smak potraw, albo dodających im aromatu, używamy części roślin zawierających aromatyczne olejki albo inne składniki, nadające charakterystyczny smak. Są to bądź korzenie, bądź kory, czasem kwiaty albo pączki. Niekiedy używa się tylko części kwiatów. Liście niektórych aromatycznych ziół dostarczają także przypraw, jak również owoce i nasiona.

Przyprawy sprowadzane z zagranicy są zwykle stosunkowo drogie, dlatego ulegają często sfałszowaniu. Chcąc się ustrzec przed falsyfikatami, trzeba znać cechy charakterystyczne doborowej jakości przypraw oraz sposoby fałszowania. Fałszuje się bądź przy pomocy sztucznego aromatu, bądź przez domiesznie produktów mniejszej wartości a podobnych z wyglądu, przez wyciąganie częściowe aromatu, wreszcie także przez zastąpienie gorszym gatunkiem produktów pierwszej jakości.

Goździki są to pączki kwiatowe drzewa goździkowego. Są ciemno-bronzowe, aromatyczne, zarysowane paznokciem wydzielają olejek. Główki powinny być pełne. Ciemne, pokurczone albo pozbawione główki są bezwartościowe, a nierzadko sztucznie pozbawione aromatu celem wytwarzania olejku goździkowego. — Sproszkowane są często fałszowane innemi domieszkami i olejkiem goździkowym. Dobre goździki toną w wodzie.

Imbier, stosunkowo mało używany u nas, jest to kłącze rośliny wschodniej. Najlepszy — jasno-żółtawy; zupełnie biały jest sztucznie wybielony. Stare kłącze są pomarszczone, ciemne i zdrewniałe. Dobry imbier natomiast jest pełny, aromatyczny. Imbier sproszkowany jest często zafałszowany albo ekstrahowany, taki nie tonie w wodzie. Imbieru używamy jako przyprawy do pierników i innych rodzajów pieczywa, do nalewek a także w stanie kandyzowanym jako przysmaku wzmacniającego żołądek. Jałowiec rośnie u nas dziko. Owoce, a właściwie szyszki używane są jako przyprawa do dziczyzny, wielostronnie zaś stosowane w lecznictwie. Ziarnka powinny być pełne i dojrzałe; pokurczone i małe,

Jako zasadniczą wskazówkę przy kupowaniu korzeni możnaby podać radę nienabywania ich w stanie sproszkowanym, gdyż wtedy łatwo poznać falsyfikat. Prócz tego należy pamiętać, że ze sproszkowanych produktów aromat — najcenniejszy składnik przypraw — ulatnia się łatwiej, przez co traci siłę i wartość. W wielu pokątnych wytwórniach mielenie odbywa się w sposób niebardzo higjeniczny i czysty, i zdarza się, że rozdrabnia się produkt wraz z wszystkiemi nieczystościami.

Należy także zwrócić uwagę, żeby korzenie nie były stoczone przez robaki, nie były stęchłe, spleśniałe, ani nie zawierały domieszek bez użytku, jak cząstki łodyg i t. p.

Anyżek powinien być barwy szaro-zielonej. Ziarnka, z których wyciągnięto aromat, są ciemno-bronzowe. Fałszuje się go nasieniem szaleju, które poznać można po niemiłym zapachu i po rozpadaniu się w cząstki.

Cynamon jest to kora rośliny wschodniej. Lepsze gatunki kory są cienkie, jasno-bronzowe i zwijają się z dwuch stron w rurki. Grubsze, ciemne i połamane części kory są liche. Zmielony cynamon jest często nieczysty i pozbawiony aromatu. Najlepiej kupować rurki cienkie i dość długie, bez odłamków i innych odpadków.

Czarnuszka jest to nasienie rośliny hodowanej w kraju po ogrodach, ziarnka czarne kanciaste, bardzo aromatyczne, dodawane do ciasta, albo używane do posypywania tegoż. Nie bywa fałszowana.

Gorczyca jest to nasienie rośliny uprawianej w środkowej Europie. Istnieją odmiany o ziarnkach białych, żółtych, bronzowych albo czarnych. Z ziarnek wytłacza się olejek używany w lecznictwie, mączka z tych ziarnek jest zatem odtłuszczona. Przy kupowaniu więc trzeba zaznaczyć, czy potrzebna mączka odtłuszczona czy nieodtłuszczona. Mączkę fałszuje się innemi mąkami, ziarnka innemi nasionami. Z gorczycy wytwarza się musztardę t. zw. kremską, mieszając czarną i białą z winem i innemi przyprawami; angielska i francuska jest żółta, albo zielonawo-żółta, przyprawiona octem i innemi dodatkami.

jasne i niedojrzałe są bez wartości. Ze zmielonych ziarn wyciąga się olejek. Syrup z jałowca, zalecany przeciw różnym chorobom, bywa zafałszowany syropem z cukru. Stare ziarna, stoczone niekiedy przez robaki i zbutwiałe, należy odrzucać.

Kaparki są to pączki kwiatowe krzewu tej samej nazwy. Mniejsze są cenniejsze od dużych. Kaparki powinny być twarde, pełne, kolorem i wielkością podobne do groszku zielonego. Należy strzec się silnie zielonych, gdyż są sztucznie farbowane. Ich namiastką są pączki jaskru. Zepsute kaparki są czarniawe, miękkie, bez smaku, świeżo marynowane oliwkowo-zielone, twarde.

K m i n e k, znane nasienie rośliny baldaszkowatej, uprawianej i rosnącej dziko na łąkach. Fałszowanie przez wyciągnięcie olejku, lub zmieszanie z nasieniem szaleju albo dzikiej marchwi. Służy jako przyprawa do potraw, do pieczywa i do wódek.

K a r d a m o n y są to owoce i nasiona rośliny podobnej do imbieru. Najczęściej używa się nasion jako przyprawy, a także w lecznictwie.

K o l e n d e r, a właściwie korjander, to nasienie żółtawo-bronzowe, drobne, okrągłe, używane przy marynowaniu mięsa oraz przyrządzaniu napojów i lekarstw.

L i ś c i e b o b k o w e powinny być całe, bez ogonków, barwy żółtawo-zielonej, o brzegu gładkim, nieząbkowanym i niepołamane.

M a c i e r z a n k a rośnie u nas dziko i w ogrodach; jest aromatyczna i służy jako przyprawa do dziczyzny, a także w lecznictwie. Wyciąga się z niej olejek aromatyczny.

M a j e r a n e k, wonne ziele, którego listków używa się jako przyprawy do kiełbas, wódek, likierów i różnych potraw. Najlepiej kupować listki, albo całe roślinki bez korzeni. Sproszkowany traci aromat i bywa zafałszowany. Majeranek można uprawiać w ogrodach.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

MATKA. — Wobec przesytu podaży pracy na wszystkich polach musi kobieta szukać takich placówek, na których nikt z nią rywalizować nie potrafi. Wśród wielu gałęzi na pierwszy plan wybija się przemysł skórzany. Zagranica zalewa rynki nasze, przypisując sobie monopol stwarzania rzeczy pięknych. Czy mamy dalej na to pozwalać? Wszystkie warunki są potemu, by kobiety polskie, schwyciwszy ten przemysł w ręce, dały mu to, co w nim być powinno: piękno rodzime, elegancję, trwałość. Wprowadzenie w czyn tej myśli jest zadaniem **jedynej we Lwowie tego rodzaju szkoły zawodowej wyrobów galanteryjnych (ul. Zadwórzańska 70).** Kurs trzyletni obejmuje przemysł artystyczny, zdobienie skóry, tłoczenie, barwienie, kaletnictwo, rękawicznictwo i gorseciarstwo. Wyroby jej na pewno rywalizować mogą z zagranicznemi, niejednokrotnie przewyższając je pięknością i oryginalnością pomysłów i wykonania. — Urzędnicy państwowi i komunalni otrzymują za dzieci zwrot opłat. Czy nie jest niepokojącym objawem fakt, że po ukończeniu VII klasy setki dziewczynek zaprzestają wszelkiej nauki — zamiast kształcić się i iść naprzód w wielkim wyścigu pracy. Nie wolno nam niczego zaniedbać, co dla polepszenia bytu uczynić można. Sam wyrób torebek, teczek, drobiazgów różnego rodzaju, wyrób rękawiczek i gorsetów powinien i musi stać się i dla nas przemysłem rodzimym.

STAŁA CZYTELNICZKA. — Z wyrobów krajowych polecamy Pani przedewszystkiem produkty f a b r y k i G u r g u l a w J a r o s ł a w i u, której wyroby cieszą się od kilkudziesięciu lat uznaniem i poparciem sfer lekarskich. Świadczą o tem liczne dyplomy i medale, przyznawane tej firmie na wystawach higjenicznych. — Np. zamiast odżywczej mączki, której dzieci i chorzy niechętnie zażywają, wyrabia fabryka znakomite w działaniu, a przytem nader smaczne, biszkopty. Pozatem słone precelki w rozmaitych gatunkach i wielkościach, które z uwagi na brak cukru i składników szkodliwych dla cierpiących na cukrzycę są tym pacjentom polecane przez lekarzy. Oprócz leczniczych produktów wytwarza fabryka słynne z dobroci pierniki i najwytworniejsze wyroby cukrowe, o których warto pamiętać przy zakupach przed św. Mikołajem.

P. ZOFJA ĆWIKLIŃSKA. — Szerokie wypustki w odmiennym kolorze — widujemy na stanikach, bluzkach, a nawet spódniczkach. Wypustka biegnie dokoła wycięcia szyi, brzegiem przodu stanika i przechodzi pod paskiem na suknię, gdzie się mniej więcej w połowie bioder kończy przy szwie, fantazyjnem zacięciu sukni lub przy kieszeni.

Kieszenie — są tak dalece modne, że od sukien codziennych i okryć przeniosły się na — wieczorowe! A przy sportowych spódniczkach są wprost obowiązkowe. Kieszenie przy sukniach mają inny krój aniżeli przy okryciach, t. j. są widocznie odstające i przypominają kształtem trąbki. Brzeg górny bywa często zdobiony guzikami, wypustką, stebnem, futerkiem, riuszką. Szyk kieszeni zależny od wrobienia jej w suknię; niektóre modele krajane są wprost z materjału razem z przodem, inne oddzielnie i misternie wszywane tuż pod paskiem, ale w ten sposób, że brzeg górny biegnie lekkim ukosem wdół. U kieszeń wszywanych poniżej paska biegnie górny brzeg w prostej linji poziomej.

W. W. N. SĄCZ. — W przypadku opisanym przez Panią nie trzeba iść z wizytą powitalną.

JADWIGA Dz. — Oszczędzanie nie powinno „odbierać ochoty do życia", lecz właśnie hartować i wychowywać na pełnego człowieka, który i w uszczuplonych warunkach potrafi być sobą, podołać z pogodą ducha obowiązkom, jakie codzienne życie nakłada. Niech Pani nie uważa tego za tragedję; podatek dla bezrobotnych jest nietylko obowiązkiem społecznym, ale potrzebą serca współczującego niedoli ludzi bezdomnych i głodnych.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34



Ona: Przekonuję się że wszystkie moje przyjaciółki miały rację polecając mi zawsze używanie niepospolitego kremu „Kwiat Śnieżny". — Od czasu używania tego kremu, przekonałam się, że inne kremy nie dorównują kremowi „Kwiat Śnieżny", który cudownie działa na upiększenie cery. 1191

A. PREVENDAR

LWÓW, UL. CZARNIECKIEGO 2
Telefon 32-83

zawiadamia

o sprowadzeniu do swego Instytutu Kosmetycznego masażystki z Berlina, wykwalifikowanej w pielęgnowaniu urody

Masaże ręczne twarzy, szyi i specjalnie oczu. Masaże systemem „Elisabeth Arden"

Pneumatyczne masaże całego ciała

Osobny oddział artyst.-fryzjerski

do ondulowania wodnego, trwałego i farbowania Henną na wszelkie odcienie

Ceny konkurencyjnie niskie!



1299

1162

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

INSERUJCIE W „ŚWIECIE KOBIECYM"!



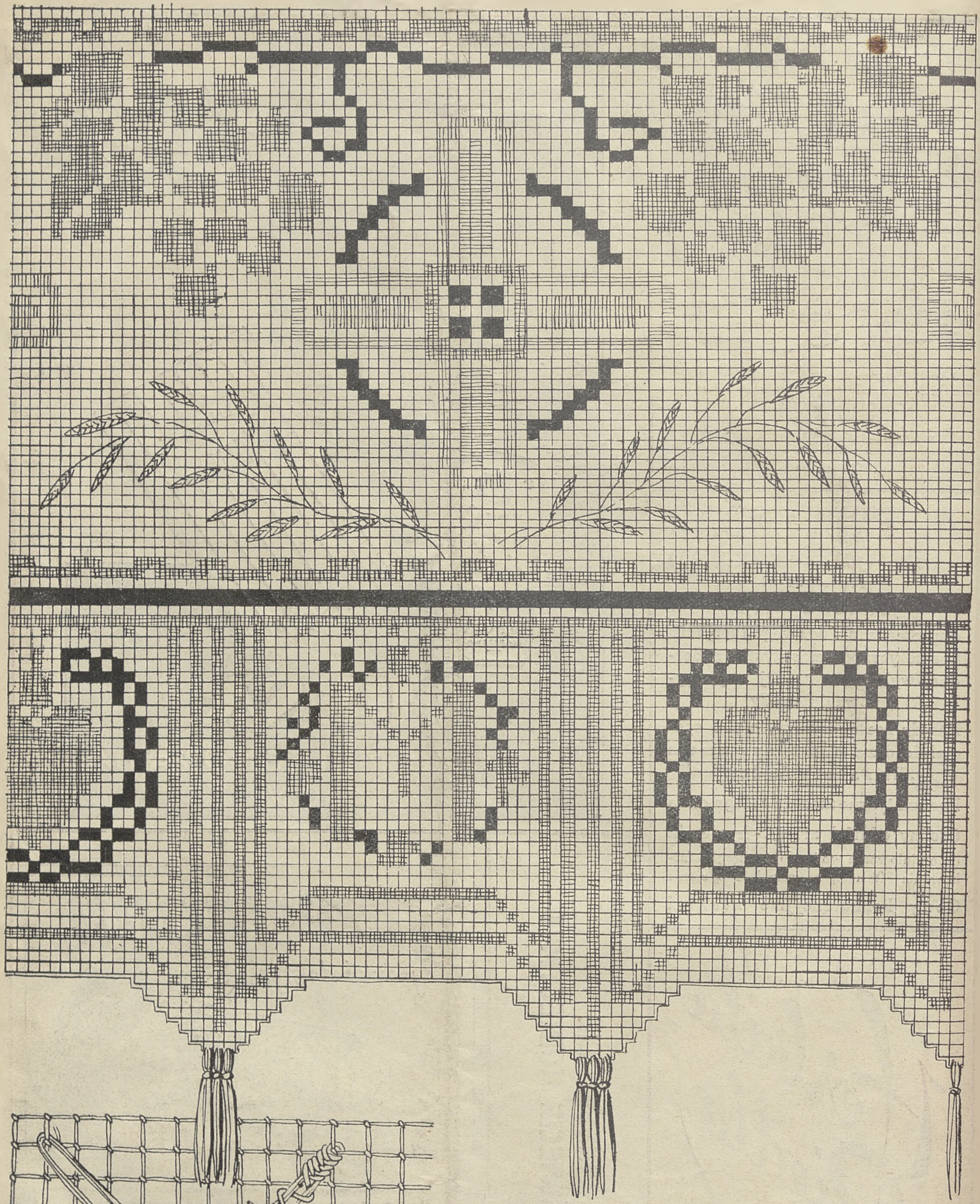
DEKORACJE WNĘTRZ

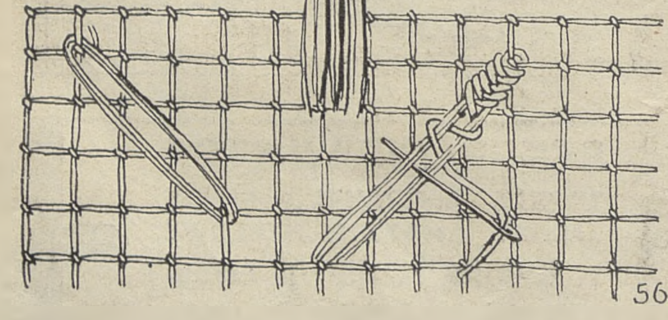
TAPETY — FIRANKI — KLUBY
SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09
Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

1163





56.

ROBOTY SIATKOWE

WSTAWKA I KORONKA DO OBRUSA NA OŁTARZ

Rycina przedstawia środkową część wstawki, przybraną pod krzyżem kłosami, których wykonanie przedstawia ryc. 56. Dalszy wzór, to powtórzenie krzyżów, z których co drugi znajduje się pod gałązkami winogron, widocznemi na rycinie.

Koronka do obrusa na ołtarzu Najświętszej Panny Marji, wykończona kutasikami z bawełny i dzierganiem. Wzór wyszyty ściegiem płóciennym i gęstem cerowaniem. Z. KULCZYCKA